

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 6 SIERPNI 1927 ROKU

NR 32

TREŚĆ NUMERU: Marja Dulębianka—bojownica o prawa kobiece—*Janina Łada Walicka*. Dobra czy szczęśliwa—*L. Konopacki*. Różnice—*M. H. Szpyrkówna*. Kobiety w powieściach Josepha Conrada—*Zbigniew Grabowski*. Wiersze: „Lato“, „Na brzegu“, „Miasteczka“—*Tadeusz Zajczkowski*. Zabite słowo—*Ewa Szelburg*. Kaczęta (powieść) c. d.—*W. Miłaszewska*. Kobieta w świecie i w domu—*R. C. H. Z teatrów*—*S. P. O.* Jak powstaje szkło czeskie—*K. Życki*. Pszczoły—*W. D.* Wina owocowe—*W. D.* Strategja gospodarstwa i kucharstwa—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady, Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Szale i szaliki—*Well*. Ubranko - kombinacja dla chłopczyka. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz“—*Douglas Goldring*, autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

MARJA DULĘBIANKA--BOJOWNICA O PRAWA KOBIECE

Bolesław Prus w „Emancypantkach“, mówiąc o Madzi Brzeskiej, twierdzi, że jest ona genjuszem dobroci. Otoż bez przesady powiedzieć można, że takim genjuszem dobroci była też Marja Dulębianka. Artystka z Bożej łaski, obdarzona niepoślednim talentem malarskim, mogącym otworzyć jej szeroko wrota do sławy, porzuca umiłowaną drogę sztuki, by zejść na niewygodne i kolczaste ścieżki służenia społeczeństwu swojemu i niesienia ulgi najbiedniejszym, wydziedziczonym. Osobiste swe upodobania poświęca dla służby za najwyższą sprawę. Przez pracę organizacyjną wśród kobiet stara się wywalczyć wolność Ojczyzny. Różnostronność uzdolnień, prawosć i szlachetność charakteru, a nadewszystko niezmiernie głęboka dobroci—sprawiły, iż Marja Dulębianka, malarka i literatka, nie ześrodkowała swej twórczej mocy w żad-



nym z posiadanych talentów, lecz stała się przede wszystkim gorącą i śmiałą działaczką-patriotką i rzeźniczką obywatelskiej równości kobiet. Mimo niekobiecych pozorów zewnętrznych, pozostaje całe życie kobietą, śpieszącą głęboko współczującym sercem wszędzie, gdzie ból i cierpienie. Pierwsze swe studia malarskie odbywa Dulębianka w Paryżu, rokując wielkie nadzieje, a w latach osiemdziesiątych nadsyła na Wystawę Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie swój pierwszy wielki obraz historyczny „Łokietek“. W okresie tym przypada poznanie Dulębianki z Marją Konopnicką. Entuzjastyczna natura przyszłej działaczki, idealizm jej, umiejętność podporządkowania swoje-

go „ja“ dla drugich i samozaparcie—oto czynniki, składające się na przyjaźń, która w życiu Marji Dulębianki tak dominującą odgrywa rolę. Wprawdzie

przyjaźń ta silnie przyczynia się do zahamowania rozwoju talentów, przez długie, bowiem, lata Dulębianka nie odstępowała poezji: przerywa swe studia i prace dla wyjazdów i kuracji klimatycznych, jakich wymagało zdrowie Konopnickiej. Dlatego też ustępuje Dulębianka z przewodnictwa Lwowskiego Związku Równouprawnienia Kobiet, dlatego w okresie tym tak rzadko podpisuje swoje artykuły.

Tu jednak należy zadać sobie pytanie, trafnie rzucone przez p. Kuczalską-Reinszmitt („Na posterunku“ Nr. 4, w maju r. 1919) „Czy, gdyby nie dwudziestokilkuletnia przyjaźń z genialną pieśniarką, indywidualność Dulębianki doszłaby do takiego rozwoju?”

„Pytanie także, czy różnostronnie uzdolniona, a tak miękka i nerwowa, natura Dulębianki nie czyniła jej — przez dziedzictwo, z podległości płci płynące, — bardziej zdolną być czyjśm natchnieniem, a nawet „autorem najlepszej części“ cudnego utworu, stawać się dla talentu i myśli innych bodźcem przez wzniosłe poczucie prawdy i słuszności, — podobnie jak o swoich żonach pisali Mill i Maeterlinck, — niż do nadawania kształtów własnym myślom, krystalizowania swoich odczuwań i poglądów w wykończone dzieła? Pytanie, czy na tej właśnie drodze nie dochodziła ona do najwyższego rozwoju swej indywidualności?”

Na pytania te trudno dzisiaj dać odpowiedź, ale faktem jest, iż wpływ Dulębianki na twórczość Konopnickiej znany był różnym osobom, (wśród nich i L. Meyet) i że przyjaźń Dulębianki spotęgowała jeszcze społeczne odczuwanie poezji i pogłębiła jej poglądy.

Śmierć długoletniej przyjaciółki nie złamała Dulębianki: z niezmierną energią rzuca się ona na pole pracy społecznej i obywatelskiej. Walkę o równouprawnienie kobiet rozpoczęła od „kołatania“, — jak się wyraża — o prawo wstępu dla nich do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, jeszcze za czasów Mattejki. Czynn timeracuje w owym czasie w akcji o gimnazja żeńskie, przemawiając we Lwowie w tej sprawie w 1897 roku i uczestnicząc w opracowaniu petycji do Sejmu.

Podczas podróży swych z Konopnicką zaznajamiała się Dulębianka z ruchem kobiecym zagranicą, śledząc jednocześnie bieg spraw narodowych, rozwój polityki i sprawy kobiecej w kraju. Doprowadziło ją to do przekonania, że uzyskanie praw wyborczych kobiet jest równie koniecznym dla ich wyzwolenia, jak i Ojczyzny. „W jakim, bowiem, sposób“ — píše wówczas — „dać kobietom możność pracowania dla narodu, gdy się im odmówi prawa do tej pracy?”

Idąc konsekwentnie po linii wytyczonej, walczy śmiało o prawo wyborcze dla kobiet do Sejmu i Rad miejskich, a w ciągu mozolnej siedmioletniej kampanji (od roku 1907 do 1914) podczas opracowywania reformy ordynacji sejmowej, przeprowadza ankiety

i wywiady wśród posłów i radnych, spożytkowując umiejętnie okresy wyborcze. Chociaż wiedziała dobrze, że w owych czasach tem się ośmieszy, stanęła jednak jako kandydatka na posła do Sejmu w r. 1908 i wygłosiła programowe przemówienie. W roku 1913 udało się jej zabiegom doprowadzić do założenia we Lwowie Ligi Mężczyzn dla obrony praw kobiet, Ligi, na której czele stanęli wpływowi posłowie różnych partij. Przemówienia Dulębianki z owych czasów ukazują się w rozmaitych czasopismach i broszurach, od roku zaś 1911 do wybuchu wojny redaguje „Głos Kobiet“, który w rok po założeniu staje się organem „Komitetu Obywatelskiej Pracy Kobiet“, stałego stowarzyszenia, założonego przez Dulębiankę w tej formie z powodu słynnego paragrafu 20-go prawa austriackiego, który zabraniał kobietom należeć do stowarzyszeń politycznych.

Komitet ten, prócz pracy politycznej, podejmował też różnolite zadania ekonomiczne i społeczne, np. założył pierwszą kobiecą „spółkę budowlaną“, w celu budowy „Dому Kobiet im. Konopnickiej“ i zorganizował szereg zrzesseń, mających na celu opiekę nad opuszczonymi dziećmi.

Oto w krótkich bardzo zarysach pobieżny szkic przedwojennej działalności Marji Dulębianki. Gdy wybuchła wojna, a świat zdawał się walić w gruzy, — staje wielka Obywatelka-Patryotka na posterunkach najtrudniejszych i w czasie inwazji rosyjskiej zakłada i dozoruje sama kilkadziesiąt kuchen publicznych. „Któż nie pamięta tej drogiej, tak znanej we Lwowie postaci w nasuniętym małym kapelusiku na głowie, z teczką pod pachą, z parasolem w ręce, zawsze śpieszącej bez wytchnienia — z „Poradni“ do magistratu, z magistratu do komitetu, z posiedzenia na posiedzenie, z narady jednej na drugą — dla dobra instytucji, rozwiązania jakichś trudności, wyszukania sposobów i ludzi, dla zaradzenia jakiejś biedzie, czy potrzebie“, Ledwie wpadnie do Biura Opieki nad dziećmi i zasiądzie nad koniecznym wykazem, czy sprawozdaniem, wchodzi wynędniała matka z niemowlęciem na rękę — jedna, druga, dziesiąta — bo nikt tak cierpliwie nie wysłucha, nie zaradzi, nie poleci sprawy dalej, jak ta niestrudzona opiekunka. Tam znów żołnierz-legjonista jej opiece poleca rodzinę; tu osieroczone dziewczętko prosi o wyszukanie zajęcia, tam, w założonym przez nią „Klubie Uliczników“, dzieci ulicy czekają jej przybycia dla rozstrzygnięcia jakiejś zwady, — tu trzeba odwiedzić suterenny na odległym przedmieściu, bo nędza i gruźlica porywa coraz to nowe ofiary. W nocy dopiero ta niestrudzona pracownica píše memorjały, sprawozdania, artykuły i t. d. Niezwykły hart woli, jakaś nadludzka, zda się, energia, podtrzymują to wątłe ciało i tylko sieć liljowych żyłek wokół wybladłej, uduchowionej twarzy, wskazuje utrudzenie nad siły. Zawsze pogodna, żartobliwa, z humorem znosząca przeciwności wszelakie,

nie cofa się przed żadnymi trudnościami, a jej wielka cywilna odwaga stała się wprost przysłowiową. Po życiu, pełnem walk, przeciwieństw i znoju, po życiu cichego wyrzeczenia się osobistych ambicji,—zabrała ją śmierć na posterunku.

Ale pamięć jej nie zaginie, ale ziarna, przez nią zasiane, już bujnie się rozrastają. Kobieta-Polka zro-

zumiała już dziś swe zadania społeczne, t. j. wyzwolenie się z partyjnictwa i postawienie czynnika etycznego ponad politykę utylitaryzmu. Marja Dulębianka nietylko że uwierzyła w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości — ona była go pewna i pewność tę stwierdzała każdym czynem życia swego.

Cześć Jej pamięci!...

Janina Łada Walicka.



L. KONOPACKI

DOBRA CZY SZCZĘŚLIWA?

Rozbieżność poglądów między starszą, a młodszą generacją, nie powinna zasadniczo nikogo razić. Inne psychiki, inne aspiracje, inne warunki społeczne, inne prądy i hasła — cóż dziwnego, że nawet gorące dyskusje między rodzicami, a dziećmi, w pewnych chwilach są zupełnie zrozumiałe. Zwłaszcza w epokach, gdy dojrzewają przesilenia, gdy wielkie hasła jednego okresu zbankrutowały, a nowe dopiero się łęgną — antagonizmy nawet są znakiem ducha czasu i zasługują na życzliwe badanie.

Inaczej jednak rzecz się przedstawia, gdy rozbieżność, a nawet przeciwstawność poglądów wyrasta z obcości, niechęci i wzajemnego braku zaufania. Wytwarza się stosunek, który wypacza młodych, a rozgorycza starych, stosunek, zatrujący atmosferę rodziną, towarzyską, a nawet i społeczną.

W szczególny sposób na naszym gruncie uderza pewien typ młodzieży, coraz pospolitszy (po wielkich miastach już dominujący). Typ ten, — nie związany uczuciowo z tradycją, nerwowy i sarkastyczny, wrażliwy na siłę fizyczną, najnowsze zdobycze techniki i komfort, niezdolny do cieplejszych wzruszeń, do idealizacji czegokolwiek, do rozumienia powagi życia i odpowiedzialności za nie, — przeciwstawia się ostro ludziom wczorajszym. I szkoła, i rodzina, i publicystyka zwróciły już uwagę na kulturalną ujemność tego typu, zbyt niewolniczo uległego presji chwilowych warunków życia, niezdolnego do walki o elementarne dobra duchowe.

Stwierdziwszy ukazanie się tego typu, dojrzano w nim słusznie symptom głęboki, rozdźwięk zasadniczy między tem, co wzruszało i uskrzydlało pokolenie przedwojenne, a młodą generacją, rozdźwięk, w wysokim stopniu niepożądany.

Czyja tu wina przedewszystkiem?

Starsi twierdzą, że młodzież zbyt ulega wpływom zgubnym, że oddala się od rodziny, nie słucha zba-

wiennych rad domu i szkoły — goni za chwilą i dżiczęje duchowo w zatrutej atmosferze powojennej.

Młodzież oponuje, twierdząc, że duch czasu się zmienił, że wychowanie nie jest odpowiednie, że prawdziwej moralności tam niema, gdzie starsi mają jedną etykę, a drugą szczepią młodzieży, że zły przykład, jaki dają rodziny, bardzo szanowne skądinąd, rozgrzesza i dzieci, że słowem, niema o czem mówić, i młodzież pójdzie własną drogą.

Niestety — drogi takiej niema, i w tem, powtarzamy, tkwi niebezpieczeństwo. Została garść komunalów, parę szczytnych, lecz zbyt ogólnikowych, haseł — i aktualne zagadnienia, t. j. poprostu logika kariery. Starsza generacja woła o idee, młodszą — chce słyszeć o przyjemności i karierze.

I stąd niebezpieczeństwo.

Rzeczy to znane dobrze i wielokroć omawiane. Chcielibyśmy dotknąć tu sprawy stosowania właściwych formuł wychowawczych. Czy są odpowiednie dziś, wobec tak trudnych warunków?

Powiedzmy sobie otwarcie: rodzice i wychowawcy stoją wobec zadań, którym podołać nie mogą, bo, pomimo najlepszych chęci, nie potrafią. Czeka ich ogromna praca przystosowania, selekcji starych norm i zasad do nowych układów sił społecznych. Czeka ich praca uprzątnięcia gruzu i zasadzenia zielonych płonek na ich miejsce.

Starsi tymczasem rozkładają ręce i stoją bezradni. Myślą, że winien temu jeno opór młodego pokolenia, jego duchowe zubożenie. To swoją drogą: to leży w nieubłaganej presji hyperkultury XX wieku; lecz niezależnie od tego nie umieją trafić do psychiki młodzieży i zniewolić do posłuchu wielkich haseł.

Wciąż się wahamy pomiędzy dwoma stanowiskami: Jedno — to skrupulatne przechowywanie tradycji, najszerszej pojętej, tradycji narodowo-szlacheckiej,

religijnej, obywatelskiej, patryarchalnej, surowej i ofiarnej. Z przeciwka — hasła naukowo-etyczne, ideologia postępu, solidarności społecznej, wyrównania krzywd klasowych, indywidualizacja praw, wyzwolenie kobiety i usamodzielnienie umysłu z pod supremacji autorytetów. Ani konserwatywny, ani radykalny biegun ideowy nie odpowiadają strukturze psychiki dzisiejszej młodzieży.

Nie odpowiadają dlatego, że psychika ta wogóle nie jest zdolna do przejmowania się ideami. Chcąc coś zdziałać, trzeba sugerować obrazami, trzeba podsuwać skojarzenia, poruszać sensorjum, grać na podświadomości. Czy jednak zasady etyki, uspołecznienia, wyrobienia charakteru są wtedy możliwe? Czy dogmat można zastąpić nastrojem?

Wolno o tem, niestety, wątpić, i stąd trudności znalezienia porozumień między dwoma pokoleniami.

Psychika młodzieży—to jedno. Drugie—to potężne przesunięcia ideowo-społeczne, które wymagają i w samej dogmatyce znalezienia nowych punktów wyjścia. Ani konserwatyzm, ani radykalizm nie dadzą tu rozwiązania: Są zanadto jednostronne,

Weźmy dla przykładu jedno zagadnienie, bardzo skądinąd doniosłe, którego właśnie ani radykalnie, ani konserwatywnie rozwiązać nie potrafimy.

Idzie o szczepienie uczuć altruistycznych w młodem i dorastającym pokoleniu.

— Bądź dobry, bądź dobra — mówi matka do swych dzieci.

Cóż prostszego nad ten nakaz miłości ludzkiej, braterskiego porozumienia z niedolą wszelką, pomocy czynnej i ofiarnej!

Ale oto matka przypomina sobie, że i jej tak samo mówiono: bądź dobra. Więc—ustępowała silniejszym, pewniejszym siebie, mniej cierpliwym, więcej wymagającym.

Ustępowała w szkole koleżankom, w rodzinie — mężowi i wszystkim, którzy od niej ustępstw żądali; więc przez delikatność uczuć nie mówiła o sobie, usuwała się w cień — zahukana przez energiczniejsze żywioły — dumna w poczuciu swej prawości, ale zepchnięta i lekceważona. Bo dobroć się lekceważy: tylko w bajkach adoruje się dobroć.

Więc chyba—bądź dobra—ale trochę szczęśliwsza odemnie — myśli młoda matka, patrząc na swą pociechę.

Shczęśliwsza? Co znaczy być szczęśliwą? Twierdzono uporczywie, że cnota jest tem samem, co szczęście. Filozofja zbudowała na tem systemy, ale psycholog wie dobrze, iż ludzie cnotliwi bywają bezdennie smutni.

Niestety, być szczęśliwą znaczy: móc zaspokoić pewne pragnienia. Jeśli znajdą się na linii dobroci — tem lepiej, a jeśli nie?

Wtedy pragnienie szczęścia opiera się na radykalnej tezie „dobrze zrozumianego egoizmu“.

Rozejrzyjmy się wokół siebie. Gdzie są osoby, zadowolone z siebie, uśmiechnięte, otoczone miłą atmosferą uprzedzającej grzeczności, hołdów, dogadzań, osoby, syte wszystkiego, co daje świat i kultura?

Czy nie natury egoistyczne? Czyż nie one są stworzone do korzystania ze wszystkiego, co miłe, wygodne, rozkoszne?

Wymagają — i otrzymują. Nie czekają uśmiechu losu, darów niewiedzieć skąd: — same sięgają, żądają i biorą. Rosną poczuciem swej osobowości, kierują ludźmi, jak zechcą, grymaszą, bawią się i pracują — przedewszystkiem dla siebie.

Ludziom otaczającym z takimi naturami niekoniecznie wygodnie, ale też żadna brutalność, ani chamstwo zerować na nich nie będą. Dobrym powiedzą: ustąp,—tu zaś, gdzie trafią na twardy opór i głośne:— chcę i wymagam,— cofną się bardzo grzecznie.

Więc, gdy matka mówi swej córce: bądź dobra,— i dodaje w myśli: bądź szczęśliwą,—czyż nie powinna pamiętać, że skoro będzie mniej dobra, to łatwiej przyjdzie to szczęście, a już zanadto dobrą istotę życie podepcze z pewnością.

Więc: dobra, czy szczęśliwa przedewszystkiem?

I oto, powtarzamy, wyłania się niemożność odpowiedzi w myśl tradycyjnego konserwatywnego etycznego, który nakazuje bezwzględność dobra i ofiarność wobec zła; również i radykalizm, indywidualizm, posunięty na stopień pospolitego egoizmu, nie daje rozwiązania, bo czyni człowieka drapieżnym spożywcą wartości kultury bez współdziałania z innymi, w samotności oschłej duszy, niezdolnej pokochać nikogo.

Konieczne są, oczywiście, poprawki. Poprawki, które dyktuje kunszt, sztuka życia, takt—polegający na lawirowaniu między bezwzględnem złem, a bezwzględnem, samozatracałnem, buddyjskiem dobrem.

No, tak; ale co mówić młodemu pokoleniu, które musi znać proste drogi, proste hasła, upajać się perspektywą nie labiryntu, ale drogi, jaką wskazuje lot strzały?

Nie podejmujemy się dać odpowiedzi. Może jednak dyskusja wyjaśni sprawę bliżej. Zbyt mało się wypowiadamy w sprawach, odbiegających od szablonu, w sprawach konfliktów etycznych, doprawdy ważnych i aktualnych.



M. H. SZPYRKÓWNA

R Ó Ź N I C E

Siedząc nad morzem, zawsze da się coś wyłowić. Otóż, siedzę i wyławiam — różnice.

Jestem w Orłowie, malutkiem niemieckim Adlerhorściku, które się za Polski rozrasta powoli w całe Orłowo. O kwadrans nalewo — Gdynia, o kwadrans naprawo — Sopoty. Więc w Orłowie jest troszkę niemiecko, a troszkę — polsko. Źle mówię: troszkę niemiecko, a bardzo polsko. Ale niemiecka troszka jednak jest, i — mea culpa! mam dla niej dużo uczucia. Bo różnice są wybitne, tak dalece, że nawet „wyławiać“ ich nie trzeba: Rzucają się w oczy same.

Wiem, że cokolwiek napiszę in minus młodego polskiego gospodarstwa, będzie źle widzianem judaszowstwem w oczach dalekiej od morza publiczności. Ale niechno taka patryjota przyjedzie tu, na miejsce, po dobrem tłuczeniu się kolejami, i zacznie szukać pokoju! Niechno wstąpi do rodzimych pensjonatów, gdzie niema wolnych pokojów, i do rodzimych tubylców, którzy nigdy pokojów, w sensie właściwym, nie mieli! Niech wdrapie się schodeczkami, — które nawet solidniejszego kota wprawia w nanysł, — na to, co gospodyni ozdobnie nazywa „górką“! Strych z ukosem pułapu nad głową, którą trzeba pokornie schylić już od progu, i wyprostować można chyba tylko, wywiesiwszy za okno... gdyby było. Ale jest tylko „luft“, przez który wpada akurat tyle światła, żeby ukazać mnogie pająki, ironicznie bujające się nad przybyszem na chytrej niteczce. Gdyby pająki były jedwabnikami, nie możnaby ich hodować z większą pieczołowitością. Barłozek w kącie — i nic pozatem: Ani stołu. ani krzesła, ani żadnej rzeczy, która jego jest. A oświetla się owo „letnisko“ — świecą. Nie wprawia mię to w podziw ze względu na brak bardziej zbytkownych urządzeń, tylko ze względu na zaufanie do Opatrzności Boskiej, jaką najwyraźniej zdradzają gospodarze. Podłoga drewniana, i zmurszała, mech, sterczący ze szpar, pułap, wiszący kłakami papy drzewnej nad głową — i — świeczka! Niech nie wymówię w złą godzinę! Ale gmina miasta Orłowa jest imponująco spokojna. Oby jej to wyszło na dobre!

Otóż, cena takiego rajskiego zakątka jest trzy złote dziennie. Jeżeli jest dwu panów, przewieszają się, przy bardziej oficjalnych stosunkach, prześcierałem i płacą... sześć. Jeżeli niema i takiego stryszka, gość jedzie do Gdyni, albo dalej, i tam zaczyna...

Ale zostanmy w Orłowie. Otóż, dla siebie i dla innych, z konieczności i przez mdłą ciekawość, nachodziłam się po pensjonatach i stryszkach różnego kalibru — od takich za dwadzieścia złotych od osoby i bardzo ładnych, do takich z pajakami, których odnajmowania przyzwoita gmina w przyzwoitem pań-

stwie powinna przedewszystkiem zabronić, jako urągających wszelkim prawom sanitarnym i bezpieczeństwowym. A sama natomiast mieszkam u Niemców — rybaków, tuż przy morzu, w najlepszym miejscu, i opiszę to szczegółowo — ze względów dydaktycznych.

Pokój kosztuje cztery złote dziennie. Jest średniej wielkości, czyli taki, w którym przeciętny pensjonat umieściłby cztery łóżka, a minimum — trzy — i kazał płacić trzy razy cenę zasadniczą, co, zdaje się, nigdzie pozatem praktykowane nie jest. Jest malowana podłoga, tapety, bielizniarka, szafa, umywalnia, dwa stoły, dwa krzesła, bardzo wygodne z b. porządną pościelą łóżko. Lustro. Firanki. Rolety. Na ścianie — haftowany ręcznik. Pochewka ze ściereczką do kurzu, zamykana na guzik. Kosz do papierów. Przed oknami ogródek na pięćdziesiąt metrów, gdzie jest wszystko: i gruszki, i róże, i agrest, i rozmaite warzywa. I — niech mi czytelnicy wybaczą realizm szczegółów!.. — żadnych nieskanalizowanych zapachów na to wszystko, dzięki umiejętnemu i solidnemu urządzeniu. A czy mi kto uwierzy, czy nie, ale w domu kuracyjnym w Gdyni na korytarz nie można wyjść, żeby nie zemdliło od straszliwego, wprost rozkładowego „fetoru“, mówiąc po polsku, jaki tam wisi w powietrzu. A gospodyni z całą pogodą objaśniła:

— A któżby tam siedział w pokoju, kiedy morze o dwa kroki? Przespać, i tyle! Nikt jeszcze od tego nie umarł, ojej!..

Olbrzymia różnica poziomu kulturalnego rzuca się w oczy. Moi Niemcy (i to rybacy, tylko prości rybacy!) — nie znieśliby nic podobnego nie dlatego, żeby było szkodliwe, tylko, że jest — niechlujne. Przyglądam się ich codziennemu życiu z niesłabnącym podziwem i sama siebie łapię nieraz na tem, że — takbym nie potrafiła. Jest dla mnie niedocieczoną tajemnicą, jak moja Niemka gospodaruje? Kiedy gotuje? Dlaczego nie czuję swędu przypaleń, mleka, ryby? Jak się dzieje, że mała kuchenka, przez którą przechodzę, jest zupełnie taką kuchenką z wystawy, modelem, który się ogląda, ale o którym się słabo wierzy, aby funkcjonował w życiu? Staję czasem i przyglądam się wysłanym papierową koronką półeczkom z szeregiem błękitnych puszek na Kümmel, Zalc, Pfeffer i inne przyprawy; z szeregiem białych na Zucker, Kaffee i Tee; z szeregiem pasiatych na mąki dziesięciu kalibrów i nakrapianych — na jeszcze inne specyfiki. Łyżki w łyżniku — komplet — talerze za przegródką, po holendersku — mały bufecik z blatem do narządzania jadła i stół, nakryty serwetą, do jedzenia. Nie mam pojęcia, gdzie są te masy kubłów, garów, saganów, koszów śmiecia i rupieci, zdobiących polskie ubikacje

gospodarskie? Niema tu nic. Rankami niemka siedzi pod namiotem obok domu, gdzie chroni się stół i dwie ławki, i obiera jarzyny. Tamże, pod namiotem, widziałam, jak prała, tam, w nielicznych wolnych chwilach widuję, jak siedzi... i czyta gazetę. Jest to młoda jeszcze, silna rybaczką, która o piątej rano jedzie do Sopot z ogromnym koszem ryb, jak u nas na węgiel, aby je sprzedać na targu. Przez ten czas mąż, który w nocy wyjeżdża z sieciami aż pod Hel, śpi. Wraca około południa, gotuje obiad, właśnie ten, który nie przypala się i nie pachnie. Sprząta, pierze, czyści, wietrzy, szyje. Piele, gracuje ścieżki, rozwiesza rzeczy na słońcu. Trochę, przez płot, konwersuje z sąsiadką, także niemką, kropka w kropkę do tej podobną. Mówią cicho, czasem przyłączają się do nich mężczyźni. Po południu gotuje obrzędową kawę. W sobotę gotuje uroczysty jutrzejszy obiad i robi pudding. Wogóle, głęboko mi przypominają życie robotników amerykańskich—w sensie poziomu kulturalnego i obyczaj-

ności. Nie słyszałam tu podniesionego głosu. Nie miałam cienia zatargu, ani chęci wyzysku, a głęboką sumiennosc w tem, czego się podjęli. Mogę śmiało powiedzieć, że niema najszykowniejszego pensjonatu, na którybym zamieniła moich niemców. I nie dla taniości, lub wygody: dla ładu życia, jaki się wyczuwa w ich pobliżu—tego najbardziej budującego pierwiastku, którego nam, polakom, tak kolosalnie brakuje! Kiedy przechodzę potem ulicą, i przez rozstrzelone naoscież,—ukazujące niemiłe wnętrza z niechlujnymi służącymi, krzykiem i śmieciami—drzwi pensjonatu, lub domów „letniskowych“, widzę ich krzykliwe i bezładne życie—ogarnia mię nieprzyjemne zażenowanie. Nie dlatego tylko, że widzę to ja: dlatego, że małe osiedle niemieckie, pozostałe w Orłowie, widzi to również—i trzeba tylko zauważyć wzrok politowania i pogardy, jakim obrzucały tę—może doraźną, może naprędce sklepaną dla podołania popytowi—ale zaiste „polnische Wirtschaft“!

ZBIGNIEW GRABOWSKI

KOBIETY W POWIEŚCIACH JOSEPHA CONRADA*)

„Najbardziej gorzkie sprzeczności i najokropniejsze powikłania na świecie“ — mówi gdzieś Conrad — „lęgną się samotnie w każdej piersi, zdolnej do uczucia i namiętności“. Wyrosli z tego przekonania, bohaterowie powieści Conrada są niemal wszyscy polem walki ostrych wewnętrznych przeciwieństw, popędów i pragnień; rozwinięta w każdym prawie ludzkim sercu zdolność cierpienia pomnaża się u osób z utworów Conrada o ton napiętego tragizmu, towarzyszącego im nieustannie. Brak u Conrada akcentów niefrasobliwości i bez troski: — wszędzie czyha cień losu, niespokojnej trwogi i nieuchronnych nieporozumień.

Lęk jest czemś niewykorzenionem z życia, niemal ze przyrodzonym warunkiem istnienia. W „Posterunku postępu“ znajdziemy zdanie, że można w sobie wyniszczyć wszystko — nawet wątpienie — prócz owej trwogi, trwającej aż po szamotanie się na ustach ostatniego tchu. Życie jest, jak dom, nawiedzony strachami pamięci, przeczuć, udręki, które wypędza dopiero ręka śmierci.

Istnienia ludzkie są dla Conrada ofiarami wiecznych, wzajemnych nieporozumień. Nieporozumienia te uwydatniają jaskrawo osamotnienie człowieka w jego myślach i uczuciach. Gdy Razumow pragnie, by go

do dna zrozumiano, chęć ta zabarwia się melancholją i goryczą, jakby w obliczu czegoś najzupełniej niemożliwego. Nieporozumienie rasy stanie między Niną i Deinem w „Fantazji Almayera“; to samo nieporozumienie, splątane z odwiecznym konfliktem między mężczyzną, a kobietą, przejdzie w nienawiść u Aissy i Willemsa w „The outcast of the islands“, — podobnie jak w „Lordzie Jimie“, gdzie dzika kochanka Jima oskarży go o zdradę i fałsz. Nieporozumienie kasty społecznej, to tragedia Renouarda z „Plantator from Malata“, gdzie, wychowana wśród form i zewnętrzności, Felicja odrzuca człowieka, który przeraża ją szczerością i mocą swej pasji; w „Powrocie“ wybuchnie konflikt w obliczu odkrytej groźnej rzeczywistości.

Aby przyjrzeć się lepiej perypetjom tych konfliktów, należy się zająć postaciami powieści Conrada. Rzuci to sporo światła na zagadnienie miłości u Conrada, ujęcie kobiety, i pozwoli nam wejrzeć w pewne momenty, przez które przeprowadza on tak wielu bohaterów, jakby dla stwierdzenia, że nikt nie zdoła ominąć najbardziej dojmujących i doniosłych zapy-

*) Artykuł niniejszy jest wyjątkiem z książki p. t. „Ze studjów nad Josephem Conradem“, która ukaże się w ciągu feryj wakacyjnych na półkach księgarskich.

tań życia. Conrad wie, że są ludzie, którym nie zdarzała w oczy prawda, ani groźna tajemnica nieobjętego żywiołu-życia, ale—jak mówi w „Tajfunie”—nie wiadomo, czy jest to dowodem życzliwości, czy też nieuważności i wzgardy losu.

Zauważył jeden z krytyków angielskich, że jedną z najbardziej dziwnych rzeczy w Conradzie jest owa czystość i rycerskość w zbliżeniu do kobiety, zachowana w twardej, a nieraz i brutalnych warunkach służby. Bohater „The arrow of gold” mówi o sobie, że kobiety i miłość dość późno zajęły jego wyobraźnię, której podniętą były męskie przygody i trudy. Męskość występuje u Conrada, jako fakt samistny, a nie potrzebujący ustawicznie tła kobiety, słabości, by błysnąć w całej pełni. Conradowi nie imponuje ten objaw męskości i pierwotności, jakim jest akt fizyczny, który dla wielu osób, t. zw. kulturalnych, jest jedynym przejawem pierwotnej dzikości i siły: — znał on dzicz i szamotanie się, wymagające więcej wysiłku i skupienia woli. Gdy mówi o rozpuszczeniu starego Singletona, czy korsarza, to wspomina o niej, jako o czemś żywiołowym, co nie zostawia osadu cynizmu: „dzikie uciechy, jak wichry, przelatowały przezeń”. Conrad nie odkrywa nigdy tajnych odruchów miłosnych swych osób; mimo to nie odczuwamy braku przejawów popędu, jako istotnego braku. Namiętność bohaterów Conrada jest ukazana w stanie takiego napięcia i dynamiki, że zawiera w sobie niejako wszelkie możliwości, i akt fizyczny niczego niemal tam dodać nie może. Sprawa płciowa nie jest pojęta, jako najwyższy moment miłości, czy posiadania. Miłość u Conrada nie jest igraszką płci, ale męczącą chęcią dobytą człowieka dla człowieka, przemocowaniem płciowej formy ku czemuś wyższemu. Kobieta u Conrada nie jest ani ową drogocenną zabawką, której cennosc polega przedewszystkiem na kruchości, ani wyidealizowanym aniołem, ale ludzką istotą, co — mimo odmiennej od męczyzny organizacji — walczy o realizację swoich pragnień z losem, staje wobec klęski i rozczarowań, a nieraz wstępuje w samotność i pustkę; Conrad ma w stosunku do kobiety postawę pełną szacunku, przechodzącego niekiedy w odcień prostaczki niemal nieśmiałości. We „Freji” powiada, że właściwie nie jest zupełnie powołany do badania tajemnic miłości, a czasem okazuje jakby nieoswojenie się z kobietą. Mężczyznom Conrada zjawia się ona, jak olśniewające i dziwne zjawisko, które wyrwa z nich wyznania żarliwe i przepojone tęsknotą; w chwilach katastrofy, lub zerwania mają dla niej uznanie, jak dla godnego partnera w okrutnej grze. W momentach takich odezwie się niejeden wyrzut, zabarwiony goryczą, a nieraz i nienawiścią, ale nigdy nie jesteśmy świadkami pogardliwego machnięcia ręką, jakie się ma dla rzeczy błahych i drobnych.

Ludzie Conrada zachowują młodzieńczą czystość i niezblazowaną świeżość czucia. W powieści „Romance” mówi Conrad o smutku i wyczerpaniu, które

legną się z każdej rozpusty; o Willemsie z „The outcast of the islands” powiada, że szczęście miłosnej błogości rozlało na jego twarzy wyraz jakiejś tępoty; Heyst z „Victory” ma wstręt do uciech zmysłowych; a w „Lordzie Jimie” padnie surowe zdanie: „kobiety znajdują natchnienie w chwilach, które dla nas są straszne, niedorzeczne, lub przelotne”. Jedynym obrazem posięcia u Conrada jest właściwie moment objęcia dowództwa przez młodego kapitana Shadow Line.

Zwracamy się z kolei ku galerji typów kobiecych u Conrada, aby uwagi ogólne rozpatrzeć na szerszym tle porównawczem. Punktem wyjścia stanie się dla nas postawiona uprzednio teza o ścisłym związku morza z pojowaniem kobiety. Morze miało dla Conrada coś z kobiety—przez wspaniałość swego czaru, kapryśność, irracjonalność i nieopanowane porywy gniewu. Rita z „The arrow of gold” jest kobietą, noszącą w sobie tajemnicę, która nadaje jej ton patosu i tragizmu i pogrąża w szaleństwo wszystkich mężczyzn, co napotkali ją na swej drodze. Nie oddaje się żadnemu z nich, jakby była na to za dumna, za swobodna — rządzi się własnymi prawami, bezwzględnie i nie liczącymi się z niczem. Nie sprzęga się z mężczyzną żadnym węzłem, a gdy uczucie dla niego wygaśnie, rzuca go i idzie dalej, pchana potrzebą miłości, która jednak nie zapełnia jej samotności i nie wyplenia goryczy i uprzedzenia do świata. „My, kobiety”—mówi rewolucjonistka rosyjska do Razumowa — „kochamy się w samym uczuciu miłości i nienawiści...”; Rita kocha się w miłości, i ludzie, otaczający ją uwielbieniem, są dla niej, jak złudne cienie. Szczerosc pierwotna Rity, szczerosc żywiołu, posunięta aż do okrucieństwa, niespełnana wolność natury tej kobiety — wszystko to zachwyca niemal Conrada, jak przemoc i swoboda niepodbitego żadnym wysiłkiem morza. Rita ma cechy urody, które Conrad tak często podkreśla: wspaniałe włosy, posągowość pięknej postawy i jakąś nieokreśloną męskość w rysach i ruchach. Przepych włosów uderza Conrada w Ninie Almayer, pannie Haldin, Aïssie, Freji, bohaterce powieści „The Rescue”, Felicji z „Plantator from Malata”. Wobec Rity ma bohater „Arrow of gold”: poczucie absolutnej harmonji, jak wobec dzieła sztuki; Willemsa zachwyca posągowa piękność Aïssy, Gaspara Ruiza — uroda dzikiej rojalistki, Jima — postać tajemniczej kochanki. Podobnie jak bohaterzy Conrada imponują urokiem męskiej postawy i siły, tak kobiety — niemal że bez wyjątku — pojawiają się w całym swoim pięknie, które nieraz ma w sobie posągowość i powagę uroczystego gestu. Nietylko Rita ma w sobie jakiś męski zakrój: posiada go i Freja, w której Conradowi podoba się tak bardzo jej fizyczna sprawność. Męskie zwyczaje ma żona Gaspara Ruiza; Ninie Almayer nie obce jest wiosło i fizyczny wysiłek, a w pannie Haldin dostrzeże Conrad coś „z zachwycającej męskości”.

(d. c. n.)

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

P. IZIE REITTER

L A T O

*Złwionem złotem słońca pachną płachty żyta.
Droga drga, echem stąpań spętaniem spowita.
Kryształowe puhary krasną krwią karmione, —
maki — mkną przez makatę żyt oszołomione.
Zasłaniam serce ziemią, jak wypukłą tarczą:
Zbóż zbożne żniwa we krwi wartkim warem warczą.*

NA BRZEGU

*Dnie są, jak białe czajki: pachną mgłą i rybą —
noce, jak złe wspomnienia, czają się za szybą.
Zrana, gdy słońce w morzu stado łodzi pasie,
dzwonią, jak pszczele skrzydła w woni wiejskich pastiek.
W południe na zbłąkane sny jestem znachorem.
Bez troski spokój szczerze rozsiewam wieczorem.
Ale gdy noc czar życia i morza podwoi
przekleństwem spada na mnie burza pieszczot twoich.*

MIASTECZKA

*Śliwki są fioletowe, jabłka są, jak z wosku,
a grube trzmielce w trawie śpiewają po włosku.
Pamiętasz? W górskich szczelin wyłoczonej głębi
drzemią miasteczka ciche, jak białe gołębie.
Na rynku kwadratowym przy beczynnej studni
małe jaskółki piją to słowo: „najcudniej”.
A na odwieczny z pastwisk dalekiej doliny
wracają białe kozy — i ciche dziewczyny
śpiewają senne piosnki nieruchomej treści
o życiu, co, jak w muszli, w ich sercach szeleści
i o miłości, która jest zgubioną chwilką...
I tam jest wtedy szczęście. Nas tam niema tylko.*



EWA SZELBURG

ZABITE SŁOWO

Nadewszystko jednak miłe jest to, że można uciec Majolice i latać po podwórzu. Kto wie nawet, czy nie będzie można wejść do drewnutni, o ile, ma się rozumieć, pozwoli Norgen.

Dzieci boją się Norgena.

Tylko jeden Hub twierdzi zawsze, że sobie nic nie robi z tego „szczudlarza“ ale Hubowi nikt nie wierzy.

Jak można nie bać się Norgena? Właściwie Norgen nie jest straszny: nosi sweter w zieloną i różową kratę, a w niedzielę wkłada zawsze białą koszulę z kołnierzykiem. Nigdy też nic złego nie zrobił dzieciom. Przeciwnie, ile razy zobaczy je na podwórzu, zdejmuje czapkę i mówi:

— Dzień dobry panienkom, jak się mają panicze?

Raz nawet chciał Joasię podsadzić na drzewo, gdy sama nie mogła się wdrapać. Kiedyś znów przyniósł chłopcom żywą wronę!

Mimo to, dzieci zawsze omijają Norgena. Choć, prawdę mówiąc, wcale nie widziały „na własne oczy“ żeby Norgen zarzynał kuchennym nożem Krzyworożę, jak ją rozdeło na mokrej koniczynie.

Może to nawet nie Norgen? ale Norgen ma klucz od drewnutni, a w drewnutni oszczeniła się Rika. Od wczoraj ma tam małe szczeniątka.

Nie wiadomo wcale jakie? ani ile?

Dzieci chcą strasznie wiedzieć. Koniecznie, koniecznie chcą zobaczyć te szczeniątka! A może będzie można je sobie wziąć? Tak, na przykład, po jednym dla każdego?

Ta Rika wsuwa się do drewnutni przez dziurę w tylnej ścianie, z tej strony, gdzie rosną pokrzywy.

Ale dzieci przez tę dziurę nie mogą się zmieścić, nawet Karl, który umie udawać „węża w cyrku“.

Trzeba więc koniecznie zdobyć klucz. Dzieci uciekają krajającej krążki cytryny Majolice i kołują zdaleka koło Norgena.

Jakby go podejść?

Ale, o dziwo! W południe Norgen sam kiwa grubym palcem na Agnieszkę, która właśnie sypie małym pentarkom wykradzioną z kredensu kaszkę.

— Może chcecie zobaczyć małe pieski? — mówi Norgen i uśmiecha się.

Ma bardzo białe zęby i jak się tak śmieje, ciemna jego twarz dokoła białych zębów staje się jeszcze czarniejszą.

Dzieci chcą bardzo zobaczyć małe pieski. Tak bardzo, że już nie myślą wcale o tem, że boją się Norgena. Biegają za nim do drewnutni i przepychają

się przez wysoki, zwalisty próg. Każde chce być pierwsze.

W drewnutni, od podłogi po same wiązania dachu, leży ciemność, przebita tu i ówdzie długimi igłami słońca. Igły słoneczne są tak ostre, że draśnięte niemi oczy ślepą i długą chwilę nic nie mogą dojrzeć.

— Tu są — mówi grubym szeptem Norgen i popycha potykające się dzieci w kącie drewnutni, gdzie stoi skrzynia, pełna słomy.

Dzieci pochylają się nad skrzynią i słyszą, że słoma szeleści.

Potem już widzą tę złotą słomę, a w niej rozwaloną Rikę. Koło Riki leżą małe okrągłe pęczki. Ruszają się i sapią. Są śliczne, jak nic na świecie! Agnieszka chce porachować, ale Rika nie daje. Podnosi górną wargę, szczyrzy zęby, marszczy gładki łebek, gniewa się.

— Poczekajcie — mówi Norgen i znów popycha dzieci. Tym razem w drugi kąt drewnutni, na jakieś twarde, sękaty przedmioty.

Aha, to są suche sosnowe łubki. Można usiąść! Siedli. Czekaają.

Coś przedreptało pod ścianą...

— Poszła jeść — mówi Norgen.

Tak. Teraz już niema Riki: można wsunąć ręce w ciepłą, ruszającą się słomę i ostrożnie wyłowić gładziutką sierstką porośnięte ślepe kulki.

Agnieszka trzyma w obu rękach to piąte, najmniejsze. Szczeniątko drży jednostajnym, nieprzerwanym drzeniem, jakby całe było drgającym, niemem psem sercem.

Dziewczynka przyciska je do siebie. W tej krótkiej chwili uczuła, że ta ciepła kruszyna jest tem, co jedyne i najdroższe.

— Weźmy sobie po jednym — proponuje zuchwale Hub, ale Norgen odsuwa dzieci od skrzynki.

— Idźcie, idźcie już — mówi.

A na drugi dzień drzwi drewnutni są na oścież otwarte, w pobliżu niema nikogo. Dzieci wbiegają do środka i — prosto do skrzyni!

Skrzynia pusta!!!

To jest... nie... niezupełnie pusta: Leżą w niej przecież pieski, ale nie wszystkie! nie wszystkie! I dla tego to słoma w skrzyni dziś taka płaska, zimna i nieruchoma.

Co się stało z resztą szczeniątek? Co się stało z resztą?

Wśród białej ulewy słońca, koło wrót przechodzi Norgen. Uśmiecha się białymi zębami i mówi:

— Były niepotrzebne. Na co żywić tyle psów? Przeszkadzałyby sobie. Poco miały rosnać?

— Gdzie są tamte szczeniątka? Gdzie są tamte?— krzyczą dzieci.

Norgen macha ręką za siebie, na te czarne olchy. Dzieci lecą tam! lecą co tchu! lecą!!!

Za czarnymi olchami, w bajorku, u samego brzeża, uwikłany w rzesę, pływa do góry rozdętym brzuszkiem mały szczenięcy trupek.

Tylną lewą łapkę ma białą... Tylną lewą łapkę ma białą, jak żadne inne żywe szczenię w drewni. O Boże!

Pani Agnieszka wstrząsnęła się i otworzyła oczy przymknięte.

Dlaczego właśnie to w tej chwili musiało przyjść jej na myśl? Oparła zwilgotniałe nagle czoło o suchy pień buku. Dzieci wciąż jeszcze bawiły się w dole. Popatrzyła na nie wzrokiem szczególnie bliskim i dokładnym, jak przez lornetkę. Jednocześnie snuła myśl, która zaczynała się nieśmiało, ale z każdą chwilą wydłużała się, rozszerzała i rosła, rosła, ostreimi kłami drąc serce na strzępy.

— Nno... tak... Ten Norgen miał przecież wtedy rację. Wszystkie nie mogły rosnać... należało jedne utopić, aby drugie mogły żyć...

Nno... taak...

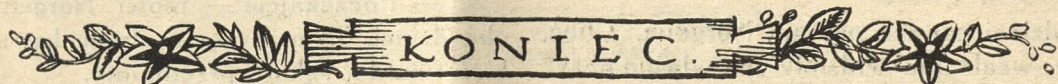
Patrzyła wciąż na dzieci, na małą Kazię, która od trzech dni nie piła swego tranu, i na Tora, który za tydzień będzie musiał iść do szkoły, jak wszyscy chłopcy w jego wieku...

— Przecież on ma już osiem lat! — pomyślała z lękiem o synu — i wchodzi za tydzień w życie...

Z całych sił ścisnęła dłońmi głowę. Ach, tak! Więc może być coś bardzo upragnione, coś, utajone na dnie ciemnej i ciepłej komórki serca! coś oddawna czekające, jedyne coś, co się nazywa—Szczęście,— a przecież niepotrzebne... niepotrzebne... innym rzeczom przeszkadzające... oh tak! oh tak!

Pochyliła się Agnieszka nad sercem swoim. Zacięła zęby, załamała ręce... Ujmuje w zimne dłonie to, na samem dnie serca urodzone, małe, ciepłe, drgające słowo miłości i — jednym zdecydowanym ruchem morderczej woli słowo to, które już za chwilę miało wybiec przysięgą na jej wargi, — ciska w ciemną głąb milczenia.

Utopiła je w sobie na wieki.



W. MIŁASZEWSKA

5

KACZĘTA

(powieść)

— Słyszysz, Marek?

— Słyszę, proszę ojca — odpowiedział, ale tak jakoś głucho.

A ja Marka znam i wiem, że się teraz zatnie, zęby zaciśnie i pokaże...

Na łódkach nie był, ale i Staś także. W swoje imieniny Staś powiedział:

— Marek nie, to i ja nie.

I poszedł do kina.

Pocciwy jednak chłopiec, ten Staś.

7 czerwca.

Już na nic głowy nie mam! Żyję, jak w tartaku. Wczoraj Adelfia świadectwo ze szkoły przyniosła, z ukończonych siedmiu klas. Zaraz jeszcze przed obiadem ubrała się w nową suknię fularową z modnym kołnierzem, sterczącym od szyi śpiczasto — i podarowała swój szkolny fartuszek kucharee.

— Niech to Walerka zabierze! Hop, hop! Już nie jestem na pensji, hurra!

Myslałam, że cały dom roztrzęsie. Potem mnie wyściskała, okręciła w kółko, wołając:

— Teraz jestem dorosła panna! Teraz ciocia będzie ze mną chodziła na bale, aha!

W Imię Ojca! Co tej dziewczynie do głowy nie przyjdzie?! Ja — i bale!.. Kiedy to ostatni raz?.. będzie chyba z ćwierć wieku...

Dzisiaj znowu Staś wraca z egzaminu. Powiedział, że to jego najtrudniejszy, niemiecki piśmienny... Matko Boska! Niech mu się powiedzie, niech mu się powiedzie... Już się chyba o nic tak gorąco nie modliłam, jak o te egzaminy Stasia. W głowie mi się pomieścić nie może, że on już cztery egzaminy złożył, i to jak złożył! Trzy „celująco“, jeden tylko „bardzo dobrze“. Jaką głowę musi mieć ten chłopak, że tak, bez żadnego trudu, jakby bułkę z masłem zjadł!..

Teofil promienieje. Ile razy mu Stasiek taki śliczny stopień przyniesie, to powiada, że i z niego będą ludzie, jak z Tomka.

Ho, ho! Tomek w handlu siedzi po uszy, ale ze Staśka to byłby cały filozof. Jak z literatury napisał rozprawę o czyichś wpływach, to nic nie zrozumiałam, chociaż przecie sporo czytam... Muszę się przecie dokształcać do tych moich dzieciaków kochanych. Ale gdzie mi tam do tego! Oni teraz jakies mistycyzmy, jakies stereometrje... Bóg wie, co! Czasem myślę i dziwię się, że tyle nauki w głowie im nie poprzewraca ze wszystkim...

Ale już naprawdę czasu nie mam. Zasiadłam do tego dzienniczka na wolną chwilę, bo kucharka zupełnie nastawiła i poszła na miasto, a ja tylko pilnuję, żeby nie kipiało.

Matko Boska Częstochowska! dziś ten Staś wraca z egzaminu...

A i Marek wziął się na pazury. Przez trzy tygodnie ani jednej dwójki, a z geometrii, z g e o m e t r i i! dostał pięć. Tylko, że kuje po nocach i zmizerniał.

13 czerwca.

To dziś imieniny Antolki, a ja nawet nie mogłam pojechać na cmentarz

Okropnie dużo teraz roboty w domu, a jak na złość, służąca ma fluksję, siedzi obwiązana, jęczy, i wszystko jej z rąk leci.

Pierwszy to raz od śmierci Antosi nie byłam na jej grobie. Antosia na tamtym świecie zrozumie i wie, że nie mogłam, ale mnie przykro i smutno. Dzieciom się trudno dziwić, bo nawet nie pamiętają matki. Jeden Tomek mówi, że trochę, ale on do sentymentów nie skory, nawet się cały dzień w domu nie pokazał, a przy śniadaniu ani wspomniał, że pamięta.

Mareczkowi dużo opowiadałam o matce, jak był małej, a i teraz czasami rozmawiamy o niej. Marek ma najkłiwsze dla mnie serce. Może dlatego kocham go więcej, niż inne dzieci Antolki. Adelcia może i słusznie przygaduje:

— Dla cioci Juści — powiada — Mareczek to cud, zjawisko, oczko w głowie...

Nie to, żebym go więcej kochała, bo ja ich wszystkich kocham jednakowo, ale jakoś Marek mi najbliższy. Może i dlatego, że Antolka przy nim umarła i ja się od małego, jak matka, opiekować musiałam sierotką.

Dzisiaj fotografję Antolki ubrałam kwiatami. Tę moją nad łóżkiem, a i Teofila także. Strasznie kwiaty zdrożały. Za ten pęczek narcyzów zapłaciłam tyle, że aż mi się wstyd było przyznać Teofilowi. Mam jeszcze troszkę swoich pieniędzy, to zapłacę sama. Ja wiem, że Teofil by mi nie pożalował, a jeszcze dla Antosi, ale jak mu samemu na myśl nie przyjdzie, to już niech Antosia ma te kwiatki odemnie.

Wielkie u nas zajdą zmiany. Teofil powiada, że mieszkanie donajął, trzy pokojowe, na wizawi na-

szego. Teraz będzie remont i drzwi muszą przebijać. I ciekawam, poco to? Czy źle było, jak dotychczas? chłopcy mają osobny pokój, Tomek śpi w saloniku, a że tam Adelcia ze mną, to chyba ani ona mnie, ani ja jej nie zawadzałam.

Ale Adelcia mówi, że się dusiny, jak śledzie w beczce. Także porównanie! Jadalnia duża, pokój chłopców duży, frontowy, o dwóch oknach... W saloniku, prawda, trochę ciasno, ale kto u nas bywa? Jak czasem koledzy Staśka przyjdą, to wolę, że siedzą w jadalni, bo strasznie papierosiska palą, a ten dym to pewnie na meble szkodzić musi. I sufit tam jest świeżo bielony, a od tego dymu pewnieby ściemniał wkrótce.

Już ja widzę, że w tem wszystkim jest Adelci ręka. Ona sobie dawno parol zagięła, że jak dorosnie, to inne porządki przeprowadzi i pewnie teraz do tego zmierza.

A jak ona potrafi koło Teofila się uwinąć! Zawsze wie, zawsze wywęszy, w jakiej chwili go nacisnąć, żeby wszystko zrobił, jak ona zechce.

Teofil przy obiedzie gazetę czyta, bo rano zawsze zajęty, czasu nie ma. To ta Adelka tylko patrzy, jak ojciec giełdę przegląda, albo jak na rynku ceny podskoczyły.

— I co, tatusiu, nowego? — pyta zaraz z najśłodszą minką, zupełnie, jakby się [doczekać nie mogła wiadomości, że cukier znowu podrożał, albo mydło staniało. — Niech tatuś powie prędko, dobrze, czy źle?

— Jak dla kogo, jak dla kogo! — odpowiada Teofil, ale się uśmiecha z zadowoleniem — Zawsze jednym jest dobrze, drugim gorzej. Musi być równowaga na świecie.

— Ee... chyba ojczusiowi teraz nie gorzej... — powiada Adelka — ojczuś mądry, ojczuś potrafi interesy prowadzić! Ja sama słyszałam, jak pan Mączkowski mówił, że ojczuś to się wprędce fortuny dorobi.

— Dla was przecie pracuję, dla was! — śmieje się Teofil i taki jest zadowolony z Adelci, że ją po ramieniu raz wraz poklepuje.

— Ja wiem, że tatuś najlepszy ojciec... Ale gdyby tak jeszcze tatuś...

I tu dopiero wylezie, o co jej od początku chodziło. A to o nowy kostjum, a to o bilety do teatru, a to o coś tam innego jeszcze...

Tak i teraz — postawiła na swoim. Teofilowi by ani w głowie nie postać mieszkanie rozszerzać, albo nowe meble sprawić do salonu...

To wszystko Adelcia.

— Musimy — powiada — dom postawić na odpowiedniej stopie.

Cóż to, nieodpowiednia była stopa, czy co? Przecie jej niczego nie brakło: Zawsze miała czyste ubranie, porządnie wypraną bieliznę, życie dobre, przyjemności tyle! Koleżanki przychodziły do niej dwa

razy w roku: Na Trzy Króle i na śmigus. Co ja wtedy miałam za urwanie głowy! Pączków trzeba było smażyć góry, nad mazurkami głowę łamałam, bo Adelfia zawsze molestuje, żeby były chociaż trzy gatunki... Aha! Trzy gatunki, w tych czasach, to nie łatwa rzecz. Rodzynki są, to fig niema — są znowu figi, wanilji ani na lekarstwo. A już nie mówię o mące... Ej, dawne czasy dobre były. Ktoby się kiedy spodziewał, że cukier będzie szedł na wagę złota, że mąkę na cały rok w śpiżarni chować trzeba, albo węgiel kupować korcami i do piwnicy zwozić!

Trzeba było czego — schodziło się do sklepika, albo do węglarza, albo do mydlarni, i było. Antosia miała sławę dobrej gospodyni, ale niechby popróbowała teraz!

Ja też robię, co mogę, oszczędzam, jak umiem. Adelfia mówi, że skąpa. To nieprawda. Nigdy niczego dzieciom nie skąpię, a że uważam, aby wszystkiego było dosyć, ale żeby się [nie marnowało, to przecież chyba nie skąpstwo?

Widocznie Teofil dobrze stoi z pieniędzmi, bo mię czoraj wezwał do siebie i wypytywał, ile dołożyć do domu, żeby po obiedzie była czarna kawa, a w niedzielę ciastka.

To także Adelfia. Powiedziała mi, że od jesieni będą u nas fiksy, że muszą być fiksy, a na nich ciastka, herbata i ciągutki. Ona sama najbardziej te ciągutki lubi. Nieraz widzę, jak sobie z miasta przyniesie całą torebkę i potem w swoim pokoju zajada, czytając książkę. Teofil jej daje pieniądze na „szpilki“, ale ona szpilki i inne tam drobiazgi zawsze w domowe rachunki wpisuje.

No więc tak. Wszystko to wygląda, że się u nas dużo zmieni. Daj Boże, żeby na dobre. Ale już się teraz o nic tak nie modlę, jak żeby Staś te egzamina pokończył. Ma jeszcze trzy.

Marek we środę ostatni raz do szkoły idzie. Pytałam go, jak z promocją:

— Nie wiem — odparł.

Ale mnie się zdaje, że on do tej szóstej klasy przejdzie, bo się zawziął. Zupełnie teraz rysować przestał, choć nawet ojciec uwagi nie zwraca, a może zapomniał o tamtej awanturze.

18 czerwca.

Kamień mi z serca spadł!

Marek wczoraj cenzurę przyniósł, a pojutrze Stasia ostatni egzamin, to jakby maturę miał w kieszeni.

Wyczekiwałam też wczoraj na Marka, wyczekiwałam! Jużśmy przy stole siedzieli, jak przyszedł. Nic nie powiedział, tylko tę cenzurę wyciągnął i przed ojcem na talerzu położył.

Teofil okulary nasadził, przeczytał wszystko, przejrzał stopnie.

— No tak — powiedział — tak, to dobrze.

Myślałam, że z radości zaczęę ścisnąć wszystkich. Ale Marek — nic: Siedział sobie nieruchomo, z taką obojętną twarzą, jakby go ta cenzura nic nie obeszła. A przecież widziałam dobrze, ile się napracował, namęczył przez ten ostatni miesiąc.

Wzięłam na odwagę i powiadam do Teofila:

— Marek się bardzo, bardzo starał, żeby sobie stopnie poprawić.

— Bardzo dobrze — odparł Teofil — teraz wakacje, odpocznie sobie; a co weszło do głowy, to weszło.

— A co Teofil Markowi obiecał? Bo może Teofil nie pamięta?

A Teofil na mnie patrzy, że niby nie rozumiem, o co mi chodzi.

Dopiero Adelfia w śmiech.

— Tatus Markowi rysować zabronił! Nie pamięta tatuś? Niechże tatuś ten zakaz cofnie, bo się Marek rozplacze, a jak Mareczek, to i ciocia Juścia!

Czasami mam takie uczucie, jakbym tej Adelfi nie lubiła, chociaż ją kocham przecie narówni z chłopcami. Ona ma taki jakiś ton. Ot, i teraz: niby się za bratem wstawiła do ojca, ale w głosie czuć jakby drwiny.

— A niech sobie rysuje, niech rysuje, byle mu te bohomyzy w nauce nie przeszkadzały! — rzekł Teofil.

Marek przez całutki czas ani słowa nie pisał i miał taką minę, jakby to nie o nim była mowa. A wiem przecież, jak mu o te rysunki chodziło.

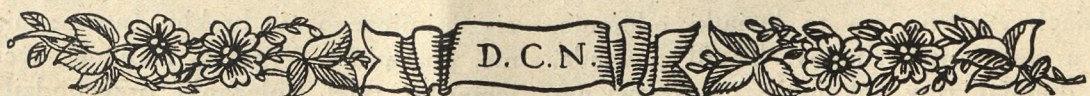
2 lipca.

Dawno do dzienniczka nie zaglądałam, ale czy to ja mam czas?

Teraz pewno odpoczne sobie trochę, bo Adelfia z Markiem na wakacje do ciotki jadą — zawsze roboty w domu ubędzie trochę.

Staśka ojciec na polowanie obiecał zabrać na tydzień, w Świętokrzyskie góry. Ma tam Teofil starego przyjaciela, kolegę jeszcze ze szkół, który w Świętokrzyskiem jest za leśniczego, tam Staś z ojcem pojedzie, ale to dopiero w końcu miesiąca, a Marek i Adelfia już pojutrze jadą i straszny kram w domu przed tą podróżą: zupełnie, jakby na koniec świata jechać mieli.

Adelfia wszystkie suknie przegląda, a u szwaczki godzinami wysiaduje. Sprawiała sobie trzy nowe sukienki, wszystkie jasne i bardzo niepraktyczne, bo to pełno jakichś falbanek i „rjuszek“; ciekawam, kto to prasować będzie u ciotki na wsi.



Kobieta w świecie i w domu

ELŻBIETA SZULC—ZACHARCZENKO

Przed kilku dniami skazany został na śmierć przez czerezwyczajkę kijowską za antirewolucyjną działalność na Ukrainie i rozstrzelany porucznik Zacharczenko.

Nic w tem dziwnego. Ziemia pali się pod stopami Sowietów w ogóle, a na Ukrainie w szczególności, to też ofiary padają gęsto. Dwustu i trzystu ludzi rozstrzelać—nic to dla bolszewików nadzwyczajnego; cóż dopiero jeden jakiś porucznik—białogwardzista!

A jednak śmierć Zacharczenki stała się głośną nie tylko w Rosji: odbiła się szerokim echem zagranicą, wśród całej rosyjskiej emigracji, i wszędzie wywołała serdeczne współczucie i uwielbienie dla bohaterstwa ofiary.

Pod nazwą porucznika Zacharczenki zginęła od kul bolszewickich kobieta.

Nie padła, zresztą, niezasłużenie, nie była ofiarą bierną, wplątana niewinnie, lub zdławioną przypadkowo, bezmyślnem okrucieństwem. Była bojowniczką świadomą i poniosła śmierć za szaloną, zaciekłą, zaprzysiężoną walkę z czerwonym terorem, w obronie wolności i praw ludzkich swej podeptanej, sponiewieranej ojczyzny.

Elżbieta Iwanowna Szulc pochodziła ze starej rodziny kurlandzkiej, zruszczonej zupełnie i należącej do arystokratycznych sfer petersburskich. Z chwilą wybuchu wojny dwudziestoletnia wówczas dziewczyna błagała ojca, który był generałem armji rosyjskiej, aby pozwolił jej walczyć przy swoim boku. Nie uzyskawszy jego zgody, uciekła z domu i, wyrobiwszy sobie papiery na nazwisko Jana Zacharczenki, wstąpiła, jako ochotnik, do pułku huzarów pawłogradzkich. W krótkim czasie doszła do szarży oficerskiej i, jako podporucznik Zacharczenko, odniosła ciężką ranę w piersi, podczas walk w Karpatach. Tam dopiero w szpitalu poznano, że ten, odznaczający się niezwykłą odwagą, głośny już w armji karpackiej, podporucznik Zacharczenko—jest kobietą.

Wysłana na rekonwalescencję do Petersburga, odznaczona krzyżem Św. Jerzego, przedstawiona carowi, stała się panna Szulc-Zacharczenko bohaterką dworu i stolicy—na parę tygodni. Po przyjeździe do zdrowia, wróciła na front, walcząc zaciekłe, niezmordowanie, aż do przewrotu bolszewickiego.

Ojciec jej i cała rodzina uciekła do Wiednia. Elżbieta pozostała w Rosji, walczyła w szeregach Wrangla, organizowała ruchawki przeciwbolszewickie w Rosji południowej, znalazła się wreszcie w Azji środkowej w korpusie Ungern-Sternberga, gdzie dotrwała do zupełnego rozbicia partyzantki i, po niezmiernych trudach i niebezpieczeństwach, zdołała przedostać się do Europy, do Paryża.

Emigracja przyjęła ją, jak zmartwychwstałą bohaterkę: była głośną osobistością w stolicy świata i mogła pozostać tam, lub w Wiedniu, pędząc życie bezpieczne. W Paryżu oświadczył się nawet o jej rękę jakiś milioner amerykański.

Nie chciała jednak słyszeć o życiu na emigracji. Wszystkie swe rozległe stosunki, cały rozgłos wyysiwiwała na gromadzenie funduszy i stronników walki z Sowietami. W krótkim czasie wróciła do Rosji. Wtajemniczeni tylko wiedzieli, że we wszystkich spiskach, powstaniach i buntach przeciw Sowietom tał się jej udział. Aż wreszcie, w ostatniemu powstaniu na Ukrainie, dostała się w ręce wrogów, padając, jak żołnierz, pod ich kulami. N. J.

ŁADNE ZWYCZAJE

U wszystkich prawie narodów istnieje zwyczaj, że kobieta, owdowiawszy, zasłania twarz woalem. Na wyspach Salomona wdowy używają w tym celu tak gęstych siatek, że nie pozwalają one nawet rozróżnić rysów. Są to, zresztą, siatki, służące do połowu bardzo drobnego gatunku ryb.

Na tymże archipelagu wysp przez długie lata obserwowano zwyczaj, że wdowa musiała iść za mężem do grobu, w którym ją zakopywano razem ze zmarłym; dziś zaniechano tu już tego barbarzyństwa, aczkolwiek na niektórych wyspach oceanji można się z niem jeszcze spotkać.

Doprawdy, nie można powiedzieć, aby Salomończycy byli rycerscy względem swoich kobiet: oto w dniu ślubu pannie młodej zawiązują na szyi sznur, z którym biedactwo nie ma prawa rozstać się już nigdy. Uroczy ten symbol oznacza coś w rodzaju naszego staropolskiego: gdy na dziewczynę zawołają „żono“,—już ją żywcem pogrzebiono.—Nie dość na tem: symboliczny ów sznur służył jeszcze do innego miłego obrządku. Gdy umierał mąż, to w dniu jego pogrzebu brat zmarłego dusił owym sznurem pozostałą po nim wdowę.

Dziś, na skutek interwencji braci misjonarzy, i ten obrządek przeszedł do historii.

W całej Oceanji jeszcze w czasach obecnych kobieta jest uważana za istotę niższego gatunku, to też po jej śmierci nikt po niej nie nosi żałoby, chyba w sercu; ale przyznać się do tego nie należy tu do dobrego tonu. R. C. H.

ZAROBKI KOBIET W PRZEMYŚLE GRECKIM

Greckie pismo kobiece p. t. „Walka kobiet“ donosi, jak robotnice wyzyskiwane są w tym kraju.

W przemyśle tkackim np. kobieta zarabia nie więcej, jak 20 do 40-tu drachm dziennie, podczas gdy chłopiec, uczeń, zajęty tylko przy opakowaniu wełny, jest płatny od 30 do 50-ciu drachm.

Różnica ta jest tembardziej uderzająca, że chodzi tu o pracę robotnicy wykwalifikowanej, w porównaniu do chłopca, który niczego jeszcze nie umie.

W fabrykach mydła kobieta otrzymuje 20 drachm dziennie, terminator mydlarski zaś 30 do 35-ciu drachm.

W wiertniach makaronu robotnik zarabia trzy razy więcej, niż robotnica.

Ileż jeszcze czasu upłynie, zanim wreszcie zatriumfuje zasada: za jednakową pracę—jednakowe zarobki?! R. C. H.



Irlandzka Joanna d'Arc—s. p. hr. Dunin-Markiewiczowa (patrz artykuł w N-rze 31 „Bluszczu“)

KOBIETA W PRZYSŁOWIACH

Przysłowia są, podobno, mądrością narodów. Uchyłmyż rąbka owej mądrości, aby zobaczyć, jak wypowiada się ona w różnych krajach o kobiecie.

Najpierw—co do jej wieku.

Włoch powiada: „młoda koza liże sól, ale stara pożre ją wraz z workiem”.

Anglik jest zdania, że „świeże drzewo daje dobry ogień”, z czym trudno jest się zgodzić.

Murzyn twierdzi, że „ze starej kury—najlepszy rosół”.

Powyzszą różnicę zdań co do wieku kobiecego, rozstrzyga praktyczny Niemiec, mówiąc: „zgas światło, a każda kobieta będzie jednakowa”.

Wdów należy unikać. Przysłowie czeskie wyraża przekonanie, że „u wdowy chleb gotowy, serce zakaliste”.

Sprytny zaś żyd ostrzega: „nie gotuj w garnku, w którym przed tobą gotował ktoś inny”.

W przysłowiaich swoich wszystkie narody wyrażają poohlebna opinię o wczesnym ożenku.

U nas mówi się: „rannego wstania i wczesnego ożenienia się nikt jeszcze nie żałował”.

Niemcy są zdania, że „młode małżeństwo — długa miłość”.

Włosi wyrażają się sceptycznie o wpływie złota na cnotę kobiety.

W Toskanji lud powiada: „złoto przechodzi próbę w ogniu, kobieta—w złocie”.

W Wenecji: „dźwięk złota przyprowadza kobietę do upadku”.

O zazdrości Niemcy wyrażają się: „zazdrosna żona jest jak pchła w uchu”.

Natomiast stare polskie przysłowie mówi: „miłość bez zazdrości, to jak polak bez wąsa”. Obecnie czasy się zmieniły: polak już prawie nie nosi wąsów. Czyżby przestał być zazdrosnym?

Myśl, że małżeństwo wpływa na zmianę charakterów, wypowiada się w polskim przysłowiu; „kto się ożeni, ten się odmieni”.

Hiszpanie o tem samem wyrażają się dosadniej: „kawaler—paw, narzeczony—lew, małżonek—osioł”.

Włosi mówią: „gdy dziewczyna szykuje się wyjść zamąż, to ma jeden język, a siedem rąk;— po miesiącu małżeństwa posiada jedną rękę, natomiast—siedem języków”.

Rosjanie są zdania, że „narzeczństwo jest winem, małżeństwo—zasiem—octem”.

Dobra żona jest ideałem męzczyzny we wszystkich krajach:

„Dobra żona jest koroną męża” (angielskie).

„Na dobrą żonę niema ceny” (włoskie).

„Dobra żona wskazuje mężowi drogę” (litewskie).

„Żona jest dobra wówczas, gdy słucha męża” (żydowskie).

O złej żonie Niemiec powiada z goryczą: „Istnieje tylko jedna zła żona, lecz każdy sądzi, że to jego”.

W przeciwieństwie do tego, Anglik mówi: „Jest tylko jedna dobra żona w kraju i każdy sądzi, że to jego”.

Niemcy są niewdzięczni względem swoich kobiet, gdyż o złej żonie wymyślili jeszcze jedno przysłowie: „były trzy dobre żony: jedna uciekła, druga utopiła się, trzeciej szukamy jeszcze”.

Duńczyk wyraża się o złej żonie w następujący sposób: „dym, cebula i zła żona wyciskają z oczu łzy”.

Japończycy są pełni galanterji dla swoich niewiast, gdyż powiada: „nie bij kobiety nawet kwiatem”.

Francuzi, którzy dotychczas jeszcze nie przyznali swoim kobietom prawa głosowania, powiada: „ce que la femme veut, Dieu le veut”. Obłudnicy!

Nie można powiedzieć, by polskie przysłowia były zbyt łaskawe dla kobiet:

„Maku nie przetrzesz, baby nie przepiesz”, powiada jedno.

A inne—wprost zuchwałe: „baba z wozu—koniom lżej”. Im-pertynencja!

R. C. H.

KLUB ZAZDROŃCIC

Z tytułu wygląda to mocno dziwacznie, nieprawdaż? A jednak—istnieje i w każdym razie mniej jest dziwaczne, niż klub samobójców, np. no, i mniej niebezpieczne.

Na jednej z bocznych ulic w Berlinie, w b. skromnym lokalu ma siedzisko ten oryginalny klub. Członkinie jego wystąpiły do zaciętej, niezmordowanej walki z — niewiernością męską. Przysięgły sobie wzajem, że żadna z nich nie pozwoli sobie naj-niewinniejszego nawet flirtu z człowiekiem żonatym. Przytem starają się poznać wzajemnie swoje środowiska, usposobienia i zbie-rają się często na dyskusje o wzajemnem pożyciu, oraz udzielają sobie rad.

Któryś z pomysłowych dziennikarzy berlińskich wyszperał ten klub i nawet, po długich staraniach, dopuszczony został na

jedno posiedzenie, które opisuje b. dowcipnie. Ale poprzez te drwiny przebija zupełnie co innego: Oto, że myśl tej organizacji, aczkolwiek tak dziwna pozornie, jest poczciwa i rozumna i że naprawdę wielu kobietom przynieść może ulgę i zdrową radę.

A oto dwa przykłady.

Podczas posiedzenia zgłasza się jedna z członkiń. Prosi o radę i pomoc. Jest zazdrosna, jest przekonana, że mąż ją zdradza. Zaniedbuje ją już od paru lat, ale znosiła to jakoś. Teraz jednak stało się już naprawdę nieszczęście. Od czasu, gdy zaczęła się moda weck end'u, mąż znika z domu w sobotę od południa i wraca w niedzielę późnym wieczorem. Te półtora dnia weck end'u przepędza za miastem. Wszystko mogła znieść jeszcze — ale to już zawiele! Sobota i niedziela należały zawsze do niej. W zwykłe dni — kupiec jest i tak zajęty: niewiele ma czasu na flirty.

— Ile lat pani jest zamężna? — pyta przewodnicząca klubu.

— Dziewięć.

— A czy też pani myśli o tem, aby zawsze wyglądać tak, jak w pierwszym roku po ślubie? Czy nie okazuje pani mężowi złego humoru i zatroskanej twarzy? — Bada dalej przewodnicząca. — Ja znam pani męża dobrze: to człowiek, który lubi życie domowe, ale lubi dom wesoły — trochę rozrywki. A pani — młoda kobieta, wygląda o 15 lat za staro, przygnębiona, zaniedbana w ubraniu.

— Ależ...

— Niema żadnego—„ależ”: — albo pani kocha męża i chce utrzymać jego miłość, albo nie.

— Mój mąż jest egoista.

— To niech pani nie będzie egoistką, Niech pani, zamiast narzekać na sobotnie wyjazdy męża, postara się obmyślić jaką miłą wycieczkę i zachęcić go do niej; niech mu pani pomaga w interesach, niech się pani stara być wesołą, nie ciągle skwaszoną i pełną wymówek, a przedewszystkiem, niech pani inaczej wygląda!

Przychodzi po radę następna, młodziutka kobieta. Zamęcza męża i siebie, że — nie wie, z kim ją mąż zdradzał!

— Ależ może pani nie zdradza wcale.

— Nie wiem, nic nie wiem! i to mię tak strasznie męczy: odczuwam formalne tortury zazdrości; ciągle mi się zdaje, że mam rywalkę.

— Ma pani jakie poszlaki?

— Żadnych,—ale nie mogę się przezwyciężyć; pytałam go tyle razy: przysięga, że nie, ale...

— Słyszałam.—mówi jedna z członkiń,—że pani nie tylko pytała, ale groziła mężowi rewolwerem! Niechże pani przedewszystkiem wyrzuci z domu rewolwer. Bo, albo w przystępie rozdrażnienia, lub przypadkiem narobi pani nieszczęścia, albo mąż nabierze przekonania, że jest pani skończoną histeryczką i znieawidzi cię.

— Chyba tak zrobię — może to wszystko tylko moje urojenia?

Prawda? Wydaje się to nam mocno dziwaczne, ale kto śle-dził kronikę wypadków w Niemczech, wie, jak się tam po wojnie rozprzęgło życie rodzinne i ile było dramatów na tem tle; choćby głośny w Wiedniu proces żony tenora Grosavescu, która zastrzeliła męża na tle błałego i, zdaje się, zupełnie mylnego posądzenia o zdradę. Sama myśl, że istnieje organizacja, która pod nazwą „zazdrośnic” stara się o wyplenienie lekkomyślnego flirtu z ludźmi żonatymi, sam fakt, że można wyzalić się, usłyszeć, często gorzką prawdę, ale i zdrową radę—przynosi tym kobietom ulgę, a często naprawdę ta zdrowa rada może dopomóc, lub powstrzymać od nieobliczalnego w następstwach kroku.

N. J.

STULETNIĄ KOBIETĄ — DOKTOREM HONOROWYM

W Uniwersytecie w Albany, stolicy stanu Nowojorskiego, odbyła się niedawno niezwykła uroczystość: mianowanie honorowym doktorem literatury—stuletniej kobiety, miss Emily Howland. Poraz pierwszy od czasu swego istnienia Uniwersytet ten obdarzył tą wysoką godnością kobietę, a należy przyznać, że wybrał niewiastę niepospolicie wielkich zasług.

Miss Howland przybyła w przeddzień uroczystości do Albany, przejechawszy w ciągu jednego dnia 198 mil w samochodzie, i zapewniała swoje otoczenie, że nie czuje się bynajmniej zmęczoną.

Dr. Charles Wheelock, rektor Uniwersytetu, doręczając zasłużonej starszemu dyplom honorowy, scharakteryzował jej życie, jako ciągły i niestrudzony wysiłek, mający na celu budzenie i pogłębianie myśli w społeczeństwie, poprawę bytu klas pracujących, zwalczanie niewolnictwa, a później alkoholizmu, emancypację kobiet i t. p.

Emilja Howland, urodzona w Sherwood, hrabstwie Cayuga, w r. 1827, mając lat 16, skończyła szkołę w Filadelfji; dalej kształciła się, jako samouk.

Będąc zdecydowaną przeciwniczką niewolnictwa, prowadziła ożywioną propagandę na rzecz emancypacji murzynów. Przez szereg lat była nauczycielką w szkole dla czarnych, następnie administratorką wielkiej szkoły Scherwood Select School.

Dziś jeszcze, mimo sędziwego wieku, pani Howland zarządza dwiema wielkimi farmami i, last not least... jest dyrektorem banku.

Dziękując Uniwersytetowi za okazany jej zaszczyt, zasłużona staruszka miała mowę, w której na zakończenie, powiedziała:

— Walczyłam za wiele spraw w moim życiu, — najgłębszym moim życzeniem obecnie jest ujrzeć jeszcze jutrzeńkę niczym niezamąconego, pracowitego pokoju dla całej ludzkości.

SĄ JESZCZE SĘDZIOWIE W WIEDNIU

Młoda para tańczy na dancingu. Jedno nieszczęśliwe poślizgnięcie — i tancerka łamie nogę. Zwykły wypadek, takby się zdawało przynajmniej, prawda?

Tancerka jest innego zdania, gdyż podaje swego partnera do sądu, twierdząc, że jego niezręczność spowodowała to niefortunne zdarzenie.

Adwokat damy dowodzi słuszności sprawy swej klientki w następujący sposób:

— „Przypuśćmy, że moja mocodawczyni jest zaproszona przez oskarżonego na przejażdżkę autem. W razie nieszczęśliwego wypadku w drodze, właściciel samochodu byłby zmuszony dobrowolnie, czy też przez sąd, zapłacić swojej towarzyszce za złamanie nogi odpowiednie odszkodowanie. Ponieważ zdarzenie jest analogiczne, żądam od niego zwrotu kosztów kuracji dla poszkodowanej“.

Sąd nie podzielił wywodów krasomówczych adwokata, twierdząc, „że na zabawie dama, zarówno jak jej kawaler, tańczą każde na swój rachunek i ryzyko“.

Są jeszcze sędziowie w Wiedniu.

R. C. H.

NA 70 MILJONÓW LUDNOŚCI — 5 MILJONÓW Kobiet ZAMEŻNYCH

W ostatnich latach liczba ślubów w Niemczech gwałtownie się zmniejszyła. W całej Rzeszy Niemieckiej, według statystyki urzędowej, istnieje tylko 5 milionów kobiet zamężnych.

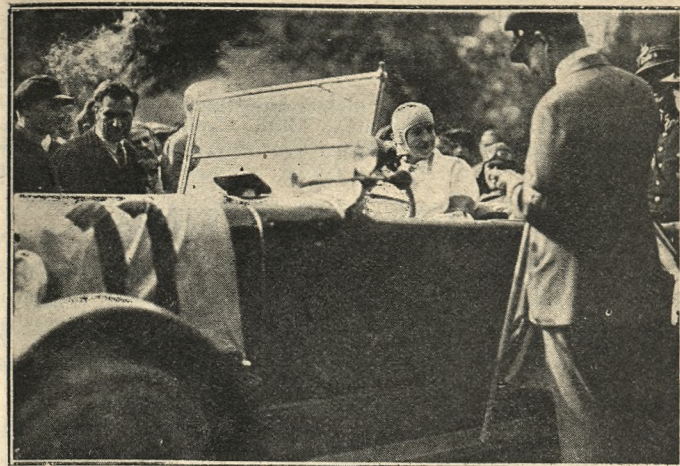
W Wirtembergji na 100 kobiet tylko 16, jakoby, zdołało znaleźć sobie mężów, 84% więc skazane jest na staropanieństwo.

Z punktu widzenia społecznego, zjawisko to jest bardzo smutne, jest jednakże wynikiem fatalnych warunków ekonomicznych w państwie, które liczy tylu bezrobotnych mężczyzn.

Po wojnie, na rynku pracy w Niemczech, kobiety stanowią dla płci męskiej groźną konkurencję. Praca ich jest tańsza, to też w samym Berlinie 800.000 kobiet pracuje na życie, to znaczy więcej, niż trzecia część ogółu kobiet w stolicy Niemiec. R. C. H.



Zawodniczki poznańskiej Warty na zawodach o mistrzostwo Polski w Poznaniu. Od lewej do prawej panie: Solewska, Francówna, Frydrychówna, Szymańska



Polski raid samochodowy Krakowskiego Klubu Automobilowego. Pani Oregier na wozie „Fiat“ zdobyła nagrodę Śląskiego Klubu Automobilowego

KOBIETY NA WYŻSZYCH STANOWISKACH SPOŁECZNYCH

Helma Zemgal, młoda wieśniaczka, jest pierwszą kobietą, która w Łotwie została członkiem Rady Państwa.

Nowomianowana dygnitarka ma zaledwie 19 lat.

Na uniwersytecie w Glasgow dotychczas jedna tylko kobieta otrzymała tytuł doktora praw. Jest nią miss Frances Melville, profesorka Margaret College w Glasgowie.

Profesorowie uniwersytetu w tem mieście, studenci i organizacje kobiece, będące w kontakcie z miss Melville, chcą uczcić pierwszą doktorę praw, ofiarowali jej wspianą togę, oraz czek na 150 funtów szterlingów.

Miasto Casa Grande, w stanie Arizona, poraz pierwszy obrało merem miasta kobietę, panią Earl Garr.

Pani Garr złożyła ślubowanie, że na stanowisku tem usilną pracą i dzielnym sprawowaniem urzędu zaćmi wszystkich swoich poprzedników.

Kobiety hinduskie, do niedawna zahukane niewolnice swoich mężów i panów, zdołały w ostatnich czasach wyjść z dotychczasowego upośledzonego położenia.

Najlepszym tego dowodem jest fakt, że w prowincji Travancore kobieta została mianowaną ministrem zdrowia.

W angielskich sferach parlamentarnych rozpoczęto obrady nad reformą Izby Lordów. Reforma ta, między innymi, będzie polegała na dopuszczeniu kobiet do tej najwyższej Instytucji prawodawczej w Anglii.

R. C. H.

GALANTERJA MĘSKA NA DROGACH PUBLICZNYCH

Londyński Motor Cycling Club, który organizował niedawno raid motocyklowy z Londynu do Edynburga, wyłączył kobiety od brania w nim udziału.

Decyzję powyższą motywował „zbyt wielką galanterją męczyzn wobec kobiet“.

Podczas zawodów, — rozumie Zarząd Klubu, — mężczyzna zmuszony jest nieraz zatrzymać się w biegu, aby przyjąć z pomocą swojej współzawodnicze, której na drodze zepsuł się motor, albo przytrafił się jaki wypadek. Skutkiem braku doświadczenia sportowego, kobiety dość często stają się ofiarami wypadków, nie powinny więc wymagać od męczyzn żadnych bohaterkich poświęceń na swoją korzyść.

Przytem, — powiada dalej Zarząd Klubu, — gdy w raidzie motocyklowym biorą udział panie, to prasa rozpisuje się tylko o nich i zamieszcza z ich powodu mnóstwo niepotrzebnych informacji, zmniejszając temsamem ważność zdarzenia sportowego.

Powyżej wyrozumowana decyzja Motor Cycling Clubu spotkała się z energiczną krytyką znanej sportsmenki angielskiej, miss Nancy Debenham, która posiada niewątpliwą autorytet w tej kwestji, jest bowiem zdobywczynią pucharu Londyńskiego w zeszłorocznym raidzie motocyklowym dla panów i pań.

W zawodach sportowych, — powiada miss Debenham, — uprzejmość i rycerskość obowiązuje nie tylko męczyznę wobec kobiety, ale i odwrotnie.

Co do braku wyrobienia w dziedzinie sportu, kobieta, która oddaje się ze szczególnym zamiłowaniem jednemu z jego rodzajów, potrafi zdobyć sobie w nim niemniejsze doświadczenie, niż mężczyzna.

Słuszne są wywody angielskiej sportsmenki; możnaby dodać jeszcze, że z decyzji Londyńskiego Motor Cycling Clubu wynika, jak bardzo mężczyźni nie lubią, być zwyciężanymi przez płęć „słabszą“.

R. C. H.

STUDENTKI AMERYKAŃSKIE W WARSZAWIE

W dniu 20-tym lipca Warszawa gościła w swych murach 30 studentek, przybyłych z Ameryki. Wycieczka ta została zorganizowana przez międzynarodową federację studentów-chrześcijan W. S. C. S. przy współudziale i pomocy polskiej Y. M. C. A. Po zwiedzeniu Warszawy studentki wyjechały do Krakowa, wreszcie do Poznania.

ODZNACZENIE DZIAŁACZKI NA GÓRNYM ŚLĄSKU

Pani Teodora Dompkowa, wdowa po pierwszym polskim prezydencie miasta Królewska Huta, została udekorowana kawalerskim krzyżem orderu „Polonia restituta“.

Pani Dompkowa należy do najbardziej zasłużonych działaczek społecznych na Górnym Śląsku; jej staraniem powstało pierwsze Towarzystwo Polskiego Śląska, pozatem znana jest jej niestrudzona działalność w dziedzinie organizacji nowych placówek kulturalno-oświatowych.

Odnaczenie to, będące wyrazem uznania sfer rządowych dla pani Dompkowej, spotkało się w kraju z żywym zadowoleniem.

SOKOLICE W LETNIM OBOZIE

Niedawno w parlamencie francuskim debatowano nad nowym prawem, powołującym na wypadek wojny wszystkie kobiety do służby narodowej. Nie znaczy to wcale, aby kobiety miały walczyć z bronią w ręku w szeregach. Chodzi tu o przygotowanie na przyszłość służby sanitarnej, gospodarczej, łączności i kulturalno-oświatowej. W tych dziedzinach zawnazę wyćwiczone kadry kobiece będą mogły zastąpić siły męskie, wzmacniając w ten sposób zastępy walczących na froncie.

Wielad za Zachodem i w Polsce sprawa wychowania fizycznego kobiet, oraz ich przysposobienia wojskowego w wyżej wskazanym znaczeniu, zaczyna już przybierać poważne rozmiary.

Sprawie tej oddają znakomite usługi tak zwane obozy letnie dla kobiet, organizowane przy pomocy władz wojskowych. Ważną przy tej akcji jest współpraca naszych lekarek, które czuwają nad programem ćwiczeń, poddają ich uczestniczki oglądziom, prowadzą wykłady z dziedziny higieny i t. p.

Dodatnim czynnikiem społeczno-wychowawczym w letnich obozach są codzienne gawędy przy ognisku, podczas których kierowniczkę starają się obudzić w młodych duszach zrozumienie roli kobiety-obywatelki w życiu narodu.

W roku bieżącym powstaje na przeciąg sierpnia podobny obóz letni w Grandicach pod Grodnem, organizowany przez związkowy wydział sokolic.

Przeprowadzony w nim będzie kurs wychowania fizycznego i wyszkolenia wojskowego, wzorowany na programie, opracowanym przez najpoważniejsze siły fachowe i zatwierdzonym przez naczelniczkę Związku Sokołów.

Program kursu obejmuje: 1o. teorię, systematykę i metodykę ćwiczeń, gimnastykę i lekką atletykę, 2o. broń chemiczną i obronę przeciwgazową, służbę sanitarną, terenoznawstwo i łączność, 3o. akcję kulturalno-oświatową. Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminów będą wydawane świadectwa.

Kurs powyższy ma na celu przygotowanie Sokolic do pracy instruktorskiej w gniazdach.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI

„Niezwyczajny seans“, sztuka w 3-ach aktach *Rayorda Vellera*
Reż. dyr. *Emil Chaberski*.

Ze Ameryka przoduje Europie pod względem śmiałości zdobyczy technicznych i uproszczeń życia, to fakt; ale że jej literatura (za genialnymi wyjątkami) ma wszystkie cechy utylitarnej i wychowawczej produkcji piśmienniczej „dla młodzieży“, — to rzecz pewna. Wszystkie te ich najpopularniejsze filmy, romanse, sztuki sceniczne zachowują z przedziwną wytrzymałością zawsze tę samą dziecięcą-ufną postawę wobec życia i człowieka. Cnota zwycięża bezwzględnie, występek jest ukarany już w tem życiu, a głupiec (to chyba najrzadziej się trafia) przyznaje, że był „kwadratowym osłem“.

Widz, który się zdecyduje iść na „Niezwyczajny seans“, musi się przygotować na to, że go będą traktować, jako ośmioletniego brzdąca. Trzeba na dwie i pół godziny stać się dzieckiem, wszystkiemu wierzyć, a przedewszystkiem — nie patrzeć na sufit, bo tajemnica może być przedwcześnie odkryta.

Taki system odmładzania się jest znacznie wygodniejszy i mniej kosztowny od systemu Woronowa, ale działa na krótką metę. Po przedstawieniu widz z zaschniętem od emocji gardłem idzie na oranżadę do Europy lub Ziemiańskiej, i tam dosadnie przekonywa go... kieszeń i powonienie, — że świat nie jest znowu taki bardzo piękny, jak w amerykańskich sztukach.

Czy pan Ossowiecki, obecny na premierze, a znany ze swego daru jasnowidzenia, wiedział od początku, gdzie jest sztylet?

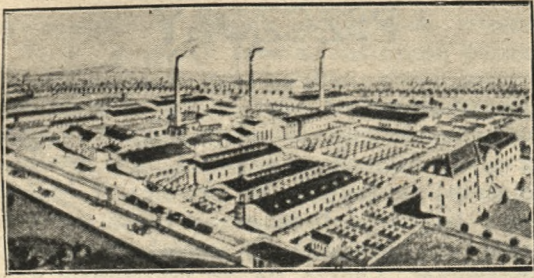
Przyznam się, że tego nie domyśliłam się, ani ja, ani reszta publiczności, tak samo, jak myliliśmy się wszyscy co do osoby zabójcy. Robiono w tym kierunku nawet ciekawe zakłady. Ze emocją dochodziła do wysokiego napięcia, świadczy fakt, „iż siedzący przedemną kolega Kleszczyński po pierwszym akcie prosił mnie, żebym przez całe przedstawienie trzymała rękę na jego ramieniu, „bo to jeszcze niewiadomo, kto zabił i kogo jeszcze zabijają; zawsze lepiej się zabezpieczyć“.

Bawiliśmy się zatem cudownie i podziwialiśmy grę p. Broniszówny, która ze swego medjum zrobiła małe arcydzieło. Reszta wykonawców dźwigała, jak mogła najlepiej, ciężar tej ogórkowej „bomby“.

S. P. O.



Drużyna lekkoatletek „Legii“ z Warszawy w zawodach o mistrzostwo Polski w Poznaniu zajęła III miejsce. Po lewej stronie stoi Czajkowska, po prawej Schabińska, rekordzistka w biegu 80 mtr. przez płotki



Wielka fabryka wyrobów szklanych

JAK POWSTAJE SZKŁO CZESKIE

Szkło czeskie znane jest zbyt dobrze na całym świecie, żeby tu potrzebował rozwodzić się nad jego walorami. Każda z pań mogłaby mnie napewno pod tym względem zakasować. I nic dziwnego... Wszak owe przepyszne cacka, załamujące promienie słoneczne w tęczowe refleksy, są tak pożądanym upiększaniem każdego serwisu, że nie sprawi nikt zapewne wytwornej pani większej radości nad tę, jaką jej się zgotuje ofiarowaniem kryształowego „garnituru“.

Wejdzmy zatem w progi fabryki, gdzie skupieni i milczący robotnicy przygotowują owe cacka, których przeznaczeniem będzie strojenie wykwintnych stołów bogaczy.

Przemysł szklany jest jednym z najważniejszych źródeł dochodu republiki czechosłowackiej i zatrudnia w 140 fabrykach blisko do stu tysięcy robotników, wychowanych w najlepszych tradycjach i dziedziczących niezrównaną wprawę po ojcach i dziadach, gdyż zamiłowanie do precyzyjnego zajęcia przechodzi tu z pokolenia w pokolenie, wytwarzając bezkonkurencyjny typ robotnika-artysty.

Właśnie możemy to zaobserwować przy okrągłym piecu, gdzie kolorami rubinu i topazu mieni się roztopione szkło. Robotnicy nabierają na koniec żelaznej dmuchawki ognistego płynu i oto wyrasta najpierw dziecinna zabawka, o kształcie bańki mydlanej. Lecz owa bańka, to dopiero poczwarka, z której zdumiewa-



Kryształowa zastawa

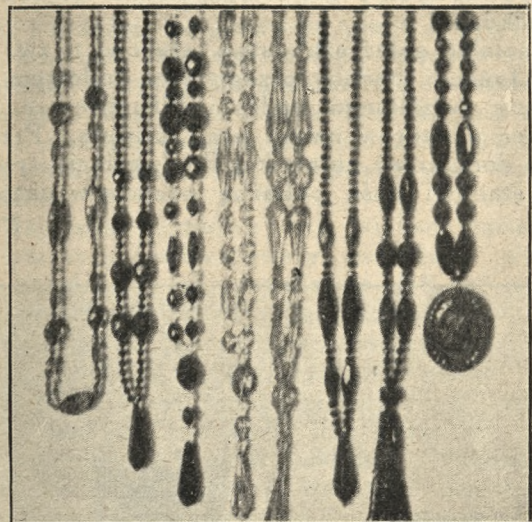
jący motyl powstaje. Robotnik patrzy uważnie na leżący przed nim wzór dzbana, czy pucharu, i przy pomocy rąk i form drewnianych coraz bardziej bańkę przetwarza.

Jeżeli to ma być naczynie o formach wymyślnych, to niejednokrotnie musi ono wracać do pieca, gdzie przylutowuje się nóżkę, ucho i t. p.

Dzban do kruszonu potrzebuje np. pół godziny czasu na powstanie z bańki szklanej—ilość czasu, wystarczająca do wytworzenia dwudziestu butelek.

Lecz dzban, który powstał z masy szklanej najprzedniejszego gatunku, nie ma jeszcze tego, co będzie główną jego wartością:—ornamentu.

Ten dadzą robotnicy-dekoratorzy, rzeźbiący rylcami z djamentowej stali tak oporny i kruchy materiał. Wytwarzają oni w ten sposób gatunki szkła najcenniejsze. Mniej cenne gatunki pokrywa się woskiem i rysuje się, zazwyczaj mechanicznie, zapomocą bardzo pomysłowej maszyny, ornament, poczem zanurza się w kąpeli z kwasów, które wygryzają niepokryte woskiem miejsca.



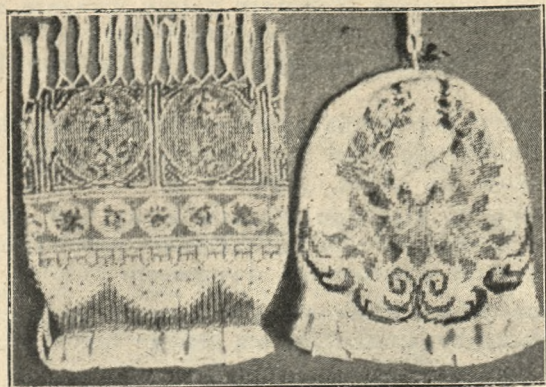
Modne sznury paciorków

Zresztą i one nie kończą na kąpeli kwasowej, lecz przechodzą przez uważne ręce, które skrzętnie usuwają wszelkie niedokładności.

Jednym ze sposobów ozdabiania jest barwienie szkła, przeważnie na kolory: wiśniowy, błękitny, lub opalowy, choć spotyka się i inne. Nieraz kolory są bardzo subtelne i sposób ich otrzymywania stanowi tajemnicę wytwórni.

Zwłaszcza ciekawą jest fabrykacja naczyń, zabarwionych dwoma, lub nawet trzema kolorami. W bańkę wydmuchiwaną jednego koloru wstawia się „łatkę“ innego, i potem już owe łatki biorą udział w dalszych ewolucjach bańki, wydłużając się w linje, lub wyokrąglać w koła.

Także dużą rolę odgrywa złocenie, które bywa wykonywane na gotowym naczyniu. Złoto jest tu pomieszane ze składnikiem chemicznym, łączącym się ze szkłem, przyczem naczynie złoczone zostaje poddane działaniu odpowiedniej temperatury.

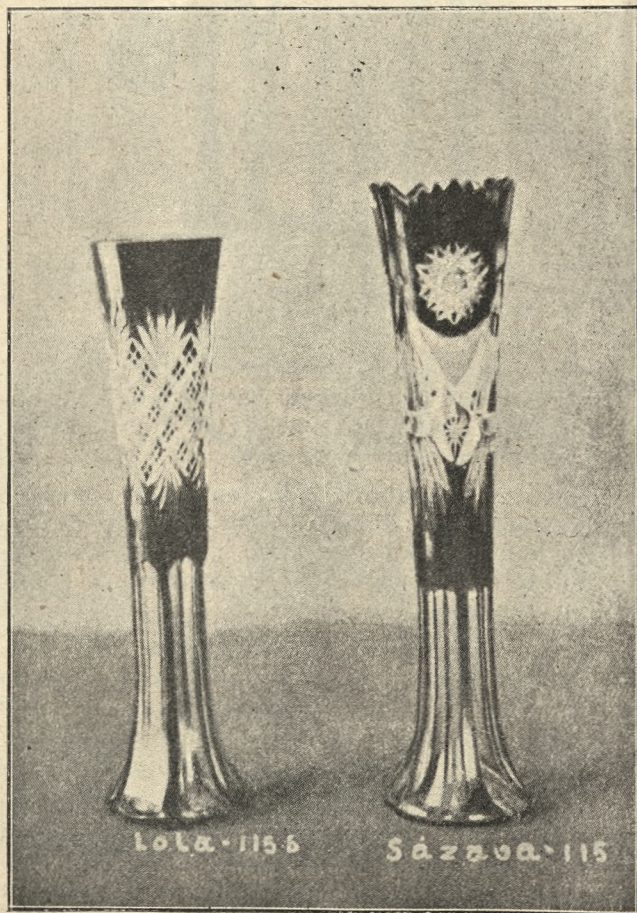


Woreczki wyszywane drobnymi pacioreczkami

Co do strony artystycznej, wyrażającej się w ornamentacji i zestawianiu barw, należy przyznać, że stoi ona bardzo wysoko. W każdej fabryce czuwa nad nią sztab artystów, który opracowuje nowe wzory i projekty. Rząd czechosłowacki otacza ogromną pieczołowitością tę gałąź przemysłu, budując cały szereg szkół zawodowych i artystycznych na użytek jego pracowników.

Specjalną gałąź szklarstwa stanowi t. zw. przemysł jabłonecki, będący przemysłem ludowym i wytwarzający wszelkiego rodzaju biżuterję ze szkła, znajdującą amatorów nawet poza Europą. Przemysł ten daje dodatkowy zarobek kilkudziesięciu tysiącom ludzi i stanowi dość pokaźną pozycję w eksporcie.

K. Życki.



Kryształowe wazony

PSZCZOŁY

Pasiecznictwo nie jest u nas dostatecznie wykorzystanym zawodem. Wielkopolska i Pomorze dostarczają rynkowi handlowemu dużą ilość miodu w najprzedniejszym gatunku, jak również i Małopolska, posiadająca liczne, dobrze prowadzone pasieki. Rynek warszawski nie może się jednak poszczycić miodem doborowym. Zdarza się on wprawdzie w handlu z początkiem sezonu, lecz w zimie i na wiosnę trudno o miód czysty, wonny i posiadający wszelkie cechy miodu kuracyjnego. Na pasiecznictwo powinny w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę kobiety. Jest to zawód, wymagający dużej systematyczności, wykształcenia teoretycznego i praktycznego, oraz prawdziwego zamiłowania. Praca, podjęta przy prowadzeniu pasieki, nie należy do ciężkich i zbyt absorbujących: można ją doskonale pogodzić z zajęciami, jakie przypadają w udziale każdej z pań, mieszkających na wsi. Po przejściu specjalnych kursów pszczelarskich i odbyciu niezbyt długiej praktyki, łatwo poradzić sobie samodzielnie z niewielką, na początek, pasieką, która, rozszerzana z roku na rok na podstawie zdobytego doświadczenia, przyniesie wkrótce poważne dochody i da dużą dozę zadowolenia osobistego. Jest faktem dowiedzionym, że dobrze prowadzona pasieka daje zyski 100%. Życie pszczół jest tak bogate i ciekawe, że pociągnąć i zainteresować musi każdego, kto zapozna się z niem zbliska.

Pszczoła jest prawdziwym cudem natury. Jej skomplikowana, a tak po mistrzowsku przystosowana do spełnianych funkcji budowa, przerasta omal wszystko, co zdołał dotąd stworzyć genjusz przyrody.

Kto zapozna się drobiazgowo z budową pszczoły, z funkcjami, spełnianymi przez tę drobną, a nieustrudzoną pracownicę, — musi zostać olśniony ogromem podjętego i wykonanego, a tak bardzo owocnego trudu, zapobiegliwością, twórczością i przebogatym jej instynktem.

Aczkolwiek doba obecna przechodzi łatwo do porządku dziennego ponad poezją przyrody, gasząc tęsknotę do piękna — drzemając na dnie duszy każdego człowieka, — drgawkami charlestona, sądzę, że przeczytanie „Życia Pszczół“ Maurycego Maeterlincka rzadko kogo nie poruszy do głębi, nie przejmie zdumieniem, pełnym zachwyty, dając chwile niezatartej rozkoszy.

Aby zrozumieć dokładnie misterną pracę pszczół, dopomóc im w niej, otoczyć je należy opieką, zbierając przytem bogate owoce własnych trudów, — trzeba zapoznać się w pierwszym rzędzie z budową i obyczajami pszczoły.

Pszczoła składa się z trzech części: głowy, tułowia i odwłoku. Głowa uposażona jest w dwie pary oczu: Jedne, umieszczone z boku głowy, składają się z tysięcy drobniutkich oczek i służą do ogarniania przestrzeni; drugie, osadzone z przodu głowy, służą pszczole do patrzenia w ciemności. Na głowie, poniżej pojedynczych oczu, osadzone są macadełka, oddające pszczolom najważniejsze usługi przy porozumiewaniu się ze sobą; są przytem organami powonienia, słuchu i czucia. Dolna warga pszczoły, rozszczepiona na płatki, podtrzymuje trąbkę, wewnątrz uwłosioną, która służy do zbierania miodu.

Do tułowia przymocowane są trzy pary nóg i skrzydełka. Pierwsza para, najkrótsza, przymocowana jest do pierwszego pierścienia tułowia, ruchomego,

uzależnionego od dwóch następnych, zrosniętych ze sobą. Nóżki, o jakich mowa, zastępują pszczołom ręce. Używają one ich przy budowie woszczyny, zbieraniu pyłku i t. p. Druga para, nieco dłuższa, osadzona jest na drugim pierścieniu, a trzecia, jeszcze dłuższa,—na trzecim. Trzecia para nóżek opatrzona jest od strony zewnętrznej rodzajem koszyczków, wewnątrz uwłosionych, w które pszczoła zbiera pyłek kwiatowy, zbijając go w kulki, i w ten sposób do ula przynosi. Pięta, obrośnięta włoskami, szczoteczką zwana, jest pomocną przy zbieraniu pyłku i gromadzeniu go w koszyczkach.

Stopa pszczoły, zakończona pazurkami, haczykowato zgiętymi, służy do szepiania się rojów i chodzenia po nierównościach. Do pierścieni tułowia przymocowane są dwie pary skrzydełek błonkowatych, rozpiętych na pustych wewnątrz żyłkach.

Odwłok pszczoły roboczej składa się z sześciu pierścieni, z których cztery mają rodzaj zagłębienia, w których przy spożywaniu pyłku i miodu osiada wosk. Hodowcy zwą ten objaw „wypacaniem się wosku”. Te mikroskopijne płytki wosku zbierają pszczoły zapomocą nóżek i przerabiają w ustach ze śliną, budując z nich w następstwie komórki i plastry do gromadzenia miodu.

Prócz wyżej wymienionych organów pszczoła posiada jeszcze żądło. Żądłem posługują się pszczoły w podrażnieniu, używając go w celach samoobrony. Zakończony haczykowato, nie daje się wyciągnąć z ciała, i zwykle pszczoła po ukąszeniu ginie, gdyż ulatując, wyrwa żądło wraz z wnętrzościami. Żądło jest zaopatrzone u obsady w pęcherzyk z jadem, to też, pozostawione w ciele ludzkim, musi być wyjmowane bardzo ostrożnie i umiejętnie, gdyż przy gwałtownym wyciąganiu rozgniatamy pęcherzyk z jadem, wciskając go tym sposobem w ranę.

Pszczoły żyją gromadami, które noszą nazwę roi. Rój składa się z matki i pszczoł roboczych. Funkcje matki są ściśle ograniczone do składania jajeczek. Z ula wylatuje ona tylko poto, aby spotkać się z trutniem. Charakterystyczną cechą pszczoł jest to, że jednorazowe spotkanie z trutniem wystarcza im na całe życie. Pszczoła-matka nie ponosi żadnych trudów. Karmioną jest przez pszczoły robocze, które jej w pyszczkach miód i pyłek podają.

Roła trutnia redukuje się do zapładniania matek. Cały trud i odpowiedzialność za wychowanie, wyżywienie i ochronę rodziny spada na pszczoły robocze. Matka różni się zasadniczo od innych pszczoł: Jest większa, ma dłuższy odwłok i jaśniejszą barwę. Pszczoły hodują matki w wypadku, jeżeli im matka zginie, lub jeżeli zostanie zabrana, albo też, gdy mają zamiar się roić. Przygotowując się do rojenia, budują kilka specjalnych komórek, w które matka składa jajeczka. Po trzech dniach z jajeczka takiego wykluwa się robaczek. Pszczoły robocze karmią robaczka pięć dni wydzieliną, powstającą przy silnym odżywianiu się pyłkiem i miodem, a wydawaną przez gruczoły mleczne. Wydzieliną taką nazywamy mleczkiem. Gąsieniczka, tak żywiona, rozrasta się prędko. Wówczas pszczoły powiększają przeznaczoną dla niej komórkę, wydłużając ją ku dołowi plastra, a po 3 dniach zasklepiają ją woskiem, nałożywszy uprzednio wystarczającą ilość pożywienia. Młoda gąsieniczka, zasklepiona w komórce, przechodzi w niej szereg przeobrażeń. Osnuwa się, zrzuca kilkakrotnie koszulkę, aż wreszcie ósmego dnia po zasklepieniu wykluwa się, jako kompletnie wykształcona matka.

Pszczoły mogą wyhodować matkę z każdego złożonego jajeczka. Różnica w postępowaniu przy hodowli pszczoły-matki, a pszczoły roboczej polega jedynie na intensywniejszym odżywianiu i specjalnej budowie komórki.

O ile pszczoły nie mają zamiaru się roić, a wyhodowały kilka matek, przyznają pierwszeństwo pierwszej wyklutej, dopomagając jej do zgładzenia ze świata następnych, co odbywa się zapomocą wygryzienia otworu w komórce i zakłucia żądłem.

W tydzień po urodzeniu matka wylatuje z ula na spotkanie z trutniem, a w dwa dni po tej napowietrznej podróży zaczyna nieść jajeczka.

Zdarza się czasem, że spotkanie nie nastąpi i matka składa jajeczka niezapłodnione: wówczas wykluwają się same trutnie, co powoduje zanik całego roju. Wiosenny okres składania jajeczek rozpoczyna się w lutym. Ilość ich wzrasta stopniowo, w miarę podnoszenia się temperatury, od kilkunastu do 3000 sztuk dziennie.

Młoda i normalnie pracująca matka składa jajeczka planowo: zaczynając pracę od środkowej komórki oblatuje jedną po drugiej jak najsystematyczniej, co w następstwie daje czerw jednego wieku. Matki starzejące się prowadzą pracę chaotycznie, omijając komórki, składają też dużo jajeczek trutniowych z powodu wyczerpania się nasienia w woreczku nasiennym. Taka praca działa destrukcyjnie na rozwój roju i dlatego wskazanym jest zastępowanie matki nową co dwa lata, chociaż faktyczny jej wiek dochodzi do lat 5.

Jajeczka trutniowe dają większe gąsieniczki, to też pszczoły, zauważywszy, że czerw wystaje ponad komórkę, nadbudowują je tak, że czerw wystaje ponad plaster, formując rodzaj garbu.

Rozwój pszczoły roboczej w zaczątkach nie różni się niczem od rozwoju pszczoły-matki. Robaczek wykluwa się ze złożonego w zwyczajną komórkę jajeczka po trzech dniach, jest karmiony mleczkiem i po pięciu dniach życia zasklepiony. Gąsieniczka pozostaje jednak w ukryciu dni 13, a dzięki szczuplejszej przestrzeni, nie wyrasta tak silnie, jak pszczoła-matka, chociaż, wykluwając się, posiada wszystkie te same organa, co i pszczoła-matka, tylko słabiej rozwinięte.

Na trzeci dzień po wygryzieniu młode pszczoły zabierają się do pracy domowej. Na siódmy dzień wylatują poraz pierwszy z ula, oblatując go w godzinach południowych z wesołym brzękiem. Po dwóch tygodniach zabierają się do normalnej pracy twórczej i nie przerywają jej aż do śmierci. W pierwszym okresie, kiedy młode pszczoły nie opuszczają jeszcze ula, zajmują się pracą zastępczą: Wychowują i karmią młode, czyszczą komórki i czuwają nad bezpieczeństwem rodziny. Żywot pszczoły roboczej jest bardzo krótki. Trwa zaledwie 7 tygodni. Tylko pszczoły, wykluwane na jesieni, żyją dłużej, bo aż do następnej wiosny.

Aby się zorientować dokładnie w ogromie wykonanej przez każdą pszczołę pracy, trzeba uprzytomnić sobie fakt, że dla zebrania jednej kropli nektaru pszczoła musi oblecieć do stu kwiatków, a dla zgromadzenia 1 kg. miodu—zgórą półtora miliona. Dowodem sumiennej drobiazgowości i imponującej zapobiegliwości pszczoł jest fakt, że silny pień gromadzi dziennie do 8 kilogramów miodu. Przyniesiony miód składają pszczoły w dolne komórki plastra, nie napelniając ich całkowicie, dopiero gdy odpowiednio wy-

paruje i zgęstnieje, przenoszą go do komórek górnych, dopełniają je i zasklepiają wieczkiem z wosku.

Słuszem jest twierdzenie, że pszczoła nietylko miód zbiera, ale go i robi, gdyż miód faktyczny, zgromadzony w zasklepionych komórkach, różni się tak smakiem, jak składem chemicznym i daleko mniejszą zawartością wody od nektaru, zbieranego przez pszczoły z kwiatów. Przemiana ta następuje pod wpływem działania śliny pszczół i soków żołądka miodnego. Miód przerabiany jest przez pszczoły dwukrotnie: Raz przy znoszeniu do ula, a drugi raz przy przenoszeniu z komórek tymczasowych do magazynowych.

Pszczoły, prócz miodu, zbierają jeszcze trąbką wodę, której potrzebują do wyżywienia młodego pokolenia. Szukają one zwykle do picia wody, przepojonej solami, dlatego też widujemy je często, pijące wodę z gnojówki. Dobrze jest stawiać w pasiece wodę lekko osoloną, przykrywając ją deszczułkami podziurawionymi, aby pszczoły, pijąc, nie topiły się. (c. d. n.). W. D.



WINA OWOCOWE

II

Sposób postępowania z drożdżami jest następujący:

Na kilka dni przed przystąpieniem do prasowania owoców, przygotowujemy około 10 litrów moszczu niesłodzonego, licząc na sto litrów moszczu rozcieńczonego. Moszcz przygotowany zagotowujemy w naczyniu kamiennem, a po wystudzeniu, dodajemy drożdże z flaszeczki. Moszcz, zlany w naczynie i doskonale przykryty, pozostawiamy w spokoju do chwili zafermentowania, który to okres poznajemy potem, że powierzchnia płynu, zlanego w naczynie, pokrywa się banieczkami. Gdy tak zwany zaczyn fermentować zacznie, mieszamy go z odpowiednio przygotowanym moszczem owocowym, licząc, jak to już wyżej wspomniałam, 10 litrów zaczynu na 100 litrów moszczu.

Jeżeli znajdzie potrzeba przygotowania zaczynu z drożdży zwyczajnych, bierzemy 20 gramów drożdży prasowanych, bardzo czystych i świeżych, licząc ilość podaną na 100 litrów moszczu. Drożdże rozprowadzić należy 1 litrem moszczu i lekko ogrzać, jednak nie ponad temperaturę 30° C., bo wówczas tracą siłę fermentacyjną. Zwrócenie uwagi na nienaganną czystość naczyń, używanych do fermentacji wina, jest pierwszym warunkiem powodzenia.

Wyrabiając wino na mniejszą skalę, najlepiej jest używać na czas fermentowania szklanych gąsiorów, które łatwo dają się doprowadzić do wymaganej czystości. Gąsiorzy szklane najlepiej jest myć roztworem sodowym, o sile 4%, i to ciepłym, bo wówczas rozpuszcza osad, tworzący się w gąsiorach, bardzo dokładnie.

Okres fermentacyjny dzielimy na trzy okresy, a każdy z nich wymaga innej temperatury.

Pierwsze dwa okresy, t. zw. zafermentowanie i fermentacja burzliwa, wymagają temperatury 20° C.

Okres trzeci, czyli fermentacja cicha, wymaga temperatury nie wyższej nad 10° C.

Na czas pierwszych dwóch okresów umieszczamy gąsiorzy w pokoju, na trzeci—zazwyczaj w piwnicy.

Po odpowiedniem rozcieńczeniu moszczu i dosłodzeniu, mieszamy go z roztworem fermentacyjnym, w stosunku wyżej podanym, i zlewamy w szklane gąsiorzy, napełniając je w ten sposób, aby $\frac{1}{10}$ pojemności pozostała wolną, inaczej płyn, burząc się w czasie fermentowania, przelewałby się i marnował.

Butleki zamykamy korkami, zaopatrzonemi w specjalny przyrząd, t. zw. czop fermentacyjny. Czop fermentacyjny jest to rurka szklana, zagięta na końcu ku dołowi. Prosty koniec rurki wpuszczamy w otwór, wyżłobiony w korku, a koniec pochylony umieszczamy w szklance z wodą. Wodę należy zmieniać co parę dni, by uniknąć dostania się jej do wina pod wpływem zmniejszonego ciśnienia.

Czopy fermentacyjne stosujemy dlatego, aby umożliwić wydostawanie się z płynu bezwodnika węglowego, a przytem izolować płyn od zakażenia bakterjami, znajdującemi się w powietrzu.

Fermentacja rozpoczyna się nieraz już po 24 godzinach, objawiając się zapienieniem powierzchni płynu. Gdyby zjawisko to opóźniało się ponad trzy dni, należy podnieść nieco temperaturę pokoju, w którym trzymamy wino. Następnie przychodzi okres fermentacji burzliwej, która przejawia się kipieniem i burzeniem się płynu. Gdy to zauważymy, należy obniżyć temperaturę do 12° C. Po obniżeniu temperatury, fermentacja słabnie, i wtedy należy znów podnieść ciepłotę do 15° C. Proces fermentacji burzliwej trwa, zależnie od ilości cukru, od 2 — 8 tygodni. Wina słodsze fermentują dłużej.

Trzeci okres fermentacyjny, okres cichy, wymaga zlania wina z osadu drożdżowego, jaki utworzył się przy sklarowaniu płynu na dnie gąsiora. Wina lekkie zlewamy zazwyczaj z osadu po 3 — 6 tygodniach, cięższe po 6 — 8, a nawet i dziesięciu.

Zlewanie należy uskutecznić w ten sposób, aby nie poruszyć osadu. Nie może tu być mowy o zwyczajnem zlewaniu z gąsiora do butelek, gdyż poruszenie osadu byłoby wówczas nieuniknionem. Do zlewania wina używamy specjalnych lewarów, złożonych z rurek szklanych i węża kauczukowego, przyczem rurkę zanurza się tak, aby nie dosięgała osadu.

Po przelaniu wina napełniamy niem dokładnie gąsiorzy, szczelnie korkujemy i przetrzymujemy w temperaturze nie wyższej, jak 5 — 10 C.

Wina lekkie dojrzewają około trzech miesięcy i po tym czasie mogą już być zlewane w butelki; mocniejsze—dobrze jest trzymać po pierwszym zlaniu 6 miesięcy. Wina bardzo mocne wymagają przelania powtórnego po upływie pół roku i dojrzewania przez lat kilka.

Butelki, przeznaczone do zlewania wina, muszą być jak najstaranniej wymyte. Zaniedbanie tego powoduje zakażenie i psucie wina. Butelki układamy w szaflu, lub waniencie i nalewamy ciepłym 5% roztworem sody; poczem dodajemy wrzątku i trzymamy tak przez 24 godziny. Po odmoknięciu czyszcimy flaszki popiołem, piaskiem, lub obierzynami od kartofli, drobno pokrajanemi, i bardzo dokładnie płóczemy czystą wodą. Po dokładnem umyciu, suszymy butelki, umieszczając je na kołkach, przymocowanych do podstawy w pozycji odchylonej.

Zlewając wino do butelek, napełniamy je tak, aby pomiędzy płynem, a korkiem pozostała wolna

przeźren, mniej więcej na grubość palca. Korki należy wybierać miękkie, jasne, o małych porach i nie dawać nigdy korków starych, używanych. Ponieważ szczelne korkowanie gra wielką rolę w dobrym przechowywaniu wina, przeto nie należy korkować butelek ręcznie, a specjalną maszynką, która wtlacza korek szczelnie do szyjki. Po zakorkowaniu obcinamy dokładnie wystającą część korka i lakujemy butelkę, aby zapobiec dostępowi powietrza.

Niekiedy zdarza się, że wino—z powodu użycia owoców zbyt kwaśnych, lub nieodpowiedniego rozcieńczenia moszczu posiada zbytnią kwasowość, czemu staramy się przeciwdziałać przez odkwaszenie.

Czynności tej nie można jednak wykonywać dowolnie, ale po zmierzeniu procentowości kwasu specjalnym kwasomierzem, kierując się pojęciem, iż najodpowiedniejszym procentem jest 8‰ kwasu.

Na każdy nadliczbowy procent kwasu dodajemy na litr wina $\frac{2}{3}$ grama węglanu wapna w proszku, który jest doskonałym środkiem odkwaszającym.

Wina zbyt słodkie, po oznaczeniu procentu cukru cukromierzem, normujemy, dając na każdy nadliczbowy procent cukru 60 gr. kwasu cytrynowego.

Wina słabe odznaczają się niejednokrotnie brakiem klarowności. Można temu zapobiec, klarując wino zapomocą specjalnych filtrów workowych, lub asbestowych.

Na zakończenie podaję szematyczną tabelkę, według której zorjentować się łatwo, w jakim stosunku należy sok danych owoców rozcieńczać i słodzić, aby osiągnąć jak najlepsze rezultaty przy fabrykacji wina:

Porzeczk. Porzeczk czerwone. — Wino deserowe: Na jeden litr soku $2\frac{1}{2}$ litra wody; na 1 litr rozcieńczonego moszczu 330 gr. cuk. Porzeczk białe. Wino deserowe: Na 1 litr soku $1\frac{1}{2}$ litra wody 330 gr. cuk.

Agrest. Wino deserowe: Na 1 litr soku 1 litr wody, 330 gr. cukru. Wino stołowe: na 1 litr soku 2 litry wody, 200 gr. cukru. Wino lekkie: na 1 litr soku 2 litry wody i 100 gr. cukru.

Jabłka. Wino deserowe: Bez domieszki wody; cukru na jeden litr moszczu 300 gr. Wino stołowe: Bez domieszki wody; cukru na 1 litr moszczu 200 gr. Wino lekkie: Bez domieszki wody; cukru na 1 litr moszczu 100 gr.

Gruszki. Wino deserowe: Bez domieszki wody; cukru na 1 litr moszczu 275 gr. Wino stołowe: Bez domieszki wody; na 1 litr moszczu cukru 175 gr. Wino lekkie: Bez domieszki wody; na 1 litr moszczu cukru 100 gr.

Borówki. Wino stołowe: Na 1 litr soku $1\frac{1}{2}$ litra wody, cukru 175 gr. Wino lekkie: Na 1 litr soku $1\frac{1}{2}$ litra wody, cukru 100 gr. W. D.



STRATEGJA GOSPODARSTWA

Gospodyni domu ostatnia udaje się na spoczynek, gdyż zanim się położy, dużo rzeczy ma do załatwienia.

Przedewszystkiem rachunki z całego dnia, które musi sprawdzić. Potem—program dnia następnego, dla siebie i innych. W ten sposób będzie mogła wydać swej służbie rozkazy jasne, wyraźne, broń Boże nie sprzeczne. Jednocześnie musi być obmyślane menu na cały dzień następny. To wszystko oszczędza wiele czasu zarówno pani domu jak służbie.

Nie należy nigdy zaczynać dnia od pytania: „Jaka robota na dziś?” W wilję dnia ustala się główne zajęcia, poza codziennymi. Jeśli bowiem nic zawczasu nie jest zdecydowane, to nie wiadomo, do czego się wziąć najpierw, i czas marnuje się napróżno.

„Dziś trzeba to zrobić. Nie, lepiej może jutro.” I przerywa się zaczęta pracę, aby bieć do rzeczy bardziej pilnych, ale o których zawczasu nie pomyślano.

Jeśli obiad nie został obmyślony w przeddzień, to mnóstwo czasu traci się na konferencję z kucharką lub na wykombinowanie, jakie przygotować potrawy, i z tego wynika, że nic nie jest gotowe na czas, albo, że chcąc stracić czasu wynagrodzić, obiad, lub śniadanie musimy naprędce obmyślić. Potrawy, byle jak przyrządzone, mało przynoszą korzyści: domownicy skarżą się i jedzą niechętnie.

Metodą doskonałą jest ta, która polega na wyznaczeniu jednego dnia w tygodniu na wszelką robotę dodatkową, poza zwykłymi zajęciami codziennymi.

Naprzykład: poniedziałek—na tak zwane „małe pranie”, wtorek—na prasowanie, środa—na reperację bielizny, czwartek—na szycie; piątek można zachować na roboty nieprzewidziane; w sobotę idzie się na targ po zapasy, czyści się kuchnię starannie, niż zwykle, przygotowuje się wszelkie rzeczy na niedzielę, która musi być dniem zupełnego wypoczynku, zarówno dla sług, jak i dla państwa. Higjena wymaga dla wszystkich niedzielnego wypoczynku.

Codziennie jeden lub dwa pokoje są porządkowane i sprzątane bardziej gruntownie, niżli reszta mieszkania.

Należy też zachować niektóre godziny dla takich prac, które powracają co pewien czas: naprzykład pranie ogólne, smaźenie konfitur, konserw i t. p.

Jasno widać z tego, jak należy obliczać się z czasem, w małych gospodarstwach zwłaszcza, tam, gdzie ma się tylko jedną służącą do wszystkiego, albo gdy jesteśmy zmuszone zajmować się domem bez żadnej pomocy. Ale liczna nawet służba nie zwalnia od obowiązku wyznaczenia pracy dla każdego, jasnego określenia obowiązków, porządku, w jakim różne roboty odbywać się powinny.

We wszystkich sytuacjach rola pani domu jest bardzo skomplikowana. Jest rzeczą niezbędną plan życia sobie utworzyć; w ten sposób jedynie można je uprościć i ułatwić. Pani domu powinna zrozumieć, że rzeczy zbytckowne muszą stać na drugim planie, i że nic z tego, co jest potrzebne, nie może być zaniedbane. O ile jest służba męska, to nadzór nad nią należy też do pani domu, aby zdjąć ten ciężar z głowy męża, który ma zajęcia pozadomowe i którego fach, interesa, praca, czasem sztuka, mogą kompletnie absorbować.

Jednym słowem, pani domu powinna myśleć o wszystkich szczegółach władzy swej w domu i mieć naprawdę nieraz zdolności wodza, aby dobrze kierować swą małą armją.

Sądzę, że gdy dom będzie dobrze prowadzony, to wystarczy godzina na dzień, najlepiej wieczorem, aby każdemu wyznaczyć robotę na dzień następny. Pani domu nie powinna obciążać nikogo: ani innych, ani siebie. Niech pomyśli o stworzeniu sobie życia domowego wedle swych sił; niech pamięta zawsze, że ludzie, będący na jej służbie, są istotami ludzkimi, a nie pociągowymi zwierzętami.

Przed zasłużonym wypoczynkiem, pani domu obchodzi jeszcze mieszkanie, aby upewnić się, że drzwi są dobrze zamknięte, ognie zgaszone wszędzie. Wreszcie kończy dobrze wypełniony dzień przy białych łóżeczkach, gdzie spokój dziecięcego snu dodaje jej sił nowych na trudy dnia jutrzejszego. M. F.

TYDZIEŃ NAUKI GOSPODARSTWA I KUCHARSTWA

Pod tą nazwą odbyły się trzydniowe kursa w marcu roku bieżącego w Paryżu, jako zakończenie, czy też dokompletowanie kongresu Higieny i Komfortu Domowego. Kursa te odbyły się w Wielkim Pałacu Sztuki, gdzie uprzednio zasiadał wyżej wzmiankowany kongres, i tak, jak ten ostatni, pod protektoratem E. Herriota, ministra Oświaty i Sztuk Pięknych. Złożyły się na nie wykłady i pokazy specjalistów według następującego programu:

Wtorek, 1 marca. 9 rano: Uroczyste otwarcie kursów przez pana E. Herriota, ministra Oświaty i Sztuk Pięknych.

10 rano: Przewodniczy pan J. L. Breton. Odczyt: Kuchnia, Sztuka i Nauka gotowania. (Gastrologia i Gastrotechnika), — Dr. E. Pomian-Pożerski z Instytutu Pasteura.

„MODNE ROBOTY KOBIECE“

BOGATO ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK

Każdy zeszyt stanowi oddzielną całość i daje sposoby wykonania najnowszych rodzajów robót kobiecych, oraz wzory naturalnej wielkości.

ZESZYT CZERWCOWY:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIEN“ — aplikacja, haft, liworyzacja.

ZESZYT LIPCOWY:

„NAJMODNIEJSZE SZALE“ szydełkowe i na widelkach.

ZESZYT SIERPNIOWY:

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

Cena zeszytu 2 Zł.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

11. 30 rano: Objaśnienia, dotyczące się ułożenia i wykonania jadłospisu, — pan M. Ninlias, szef kuchni Grand-Hotelu przy Bulwarze Kapucynów, i pan E. Pomian-Pożerski.

3 pp: Przewodniczy były minister M. Ogier. Odczyt: Nauczanie gospodarstwa, — p. E. Labbé, dyrektor nauczania technicznego.

4 pp: Seans kinematograficzny.

5 pp: Herbata, przyrządzona i podana pod kierownictwem p. M. Decroix, naczelnego cukiernika Hotelu „Regina“ przy ulicy Rivoli. Wyjaśnienia i pokazy p. M. Decroix.

Środa, 2 marca. 9 rano: Przewodniczy panna Carox, dyrektorka Liceum Fénélon. — Odczyt: Metody organizacji gospodarczej, — panna P. Bernége, sekretarka Ligi Organizacji Gospodarczej.

10 rano: Przewodniczy Senator M. Dron, prezes Stowarzyszenia dla rozwoju nauczania technicznego. Odczyt: Ścisłość w nauczaniu gospodarczym, — pan profesor Pinard, deputowany (poseł), członek Akademii Medycznej.

11. 30 rano: Wyjaśnienia, dotyczące się układania jadłospisu, — p. Girod-Tony, naczelnego kucharza „Café de Paris“, ulica Opéry, i Dr. E. Pomiana.

12. 30: Śniadanie, wykonane i podane pod kierownictwem p. Girod-Tony, naczelnego kucharza „Café de Paris“.

2. 30 pp: Zwiedzanie Muncypalnej Szkoły Gospodarczej, ul. Debelleye 28. Okr. III.

4 pp: Przewodniczy p. E. Labbé, Dyrektor nauczania technicznego. — Odczyt: Zakup mięsa, — p. M. Martel, członek Akademii Medycznej, Dyrektor służby weterynaryjnej Prefektury Policji.

5. 30 pp. Seans kinematograficzny.

Czwartek, 3 marca. 9 rano: Zwiedzenie Szkoły Rachel, (nauka gospodarstwa) ul. Quinault 8. Okr. V.

10. 30 rano: Przewodniczy pani Bourgeois, inspektorka naczelną prac ręcznych w szkołach miejskich Paryża. Odczyt: Stosunek pomiędzy wykształceniem naukowym i gospodarczym, — p. L. Dorresse, przełożona szkoły praktycznej przemysłu i handlu.

11. 30 rano: Rzut oka na pracę kandydatów, biorących udział w konkursie kucharstwa i gospodarstwa.

12. 30: Degustacja potraw, przyrządzonych przez kandydatów biorących udział w konkursie kucharskim.

Od 2 do 5 pp: Pokazy rozmaitych przyrządów i aparatów gospodarczych, Zwiedzanie stoisk stałej wystawy.

5. 50 pp: Zakończenie zjazdu i rozdanie nagród laureatom konkursu kucharskiego i gospodarczego, pod przewodnictwem p. Herriota, ministra Oświaty i Sztuk Pięknych.

Jeżeli podałam tu dokładnie program zajęć całego zjazdu, nazwiska wykładowców, przewodniczących poszczególnych posiedzeń, to dlatego tylko, żeby pokazać czytelnikom „Bluszczu“, jak olbrzymią wagę przywiązują we Francji do spraw gospodarczych w ogólności, kuchennych w szczególności. Uczony profesor instytutu Pasteura, doktor Pomian, uważa za zupełnie stosowne występować jako koreferent wraz z kucharzami pierwszorzędnymi restauracji paryskich, ażeby nauczyć układania jadłospisów nie tylko smacznych, lecz i zdrowych. Minister oświaty osobiście otwiera i zamyka zjazd kulinarno-gospodarczy. Wykłady teoretyczne i zajęcia praktyczne równomiernie są rozłożone, — nawet bodaj, że tym drugim udzieliło więcej czasu. Egzamin publiczny kandydatów, bio-

rażących udział w konkursie, i rozdanie im nagród jest poważną zachętą do doskonalenia się w sztuce prowadzenia gospodarstwa i kuchni,—gdyż napewno tacy laureaci natychmiast znajdą korzystne stanowiska. Czyby i u nas w ciągu przyszłej jesieni, zimy, lub wiosny nie udało się zorganizować takich kursów, takiego pokazu, takiego konkursu? Chociażby w skromnych, narazie, rozmiarach, byle początek był zrobiony,—i byle to nie była tylko teoria, teoria, teoria—i to jeszcze żywcem z Ameryki, lub innej „zagranicy“ brana, — lecz obok niej zajęcia i pokazy praktyczne, do naszych potrzeb i naszych warunków przystosowane.

Pani Elżbieta.



SALATA Z MÓZDŻKÓW

Wymoczyć, oczyścić z błonek i ugotować w wodzie, osolonej i zakwaszonej octem, dwa mózdzki cięłe, lub jeden wołowy. Ugotować sześć jaj „poszetowych“, to jest wypuszczanych wprost ze skorupki na osoloną wodę z octem,—przyczem żółtka powinny pozostać miękkie, a białka mocno się ściąć. Na okrągłym półmisku położyć w środku mózdzki, pokrajane na sześć części, naokoło sześć ładnych, kruchych, wewnętrznych liści sałaty, w każdy z tych liści kładąc po jednym jajku. Niedużą łyżkę mąki zasmażyć na biało z taką ilością masła, rozprowadzić pół szklanką rosołu, lub wody, osolić. Gdy sos nieco wystygnie, dodać doń, wciąż ucierając w jedną stronę, dwa żółtka, cztery łyżki najlepszej oliwy, na koniec noża musztardy w proszku, sok z całej cytryny, lub dwie łyżki dobrego, winnego octu. Gdy się sos dobrze ukręci, spróbować, czy dosyć słony; kto lubi sos ostry, może dodać odrobinę białego pieprzu. Sosem tym pokryć mózdzki i jajka i natychmiast podawać. Dobra, lekka, letnia potrawa na drugie śniadanie, lub kolację.

KOTLETY Z GRZYBÓW

Pół kilo grzybów prawdziwych, (borowików), kozaków (babek), lub maślaków (koźlaków)—byle tylko były jędrne i młode,—obetrzeć na sucho ściereczką, usiekać drobno i poddusić w dużej łyżce masła z dwiema dużymi, również drobno usiekanymi, cebulami. Dodać 10 deka bułki, wymoczonej w mleku, i tyleż bułeczki suchej, utartej, jedno duże, lub dwa małe

jajka, soli i pieprzu do smaku; można też dodać garstkę siekanego koperku. Wymieszać to wszystko na gładką masę, podzielić na osiem części, uformować zgrabne kotlety, utarzać w mące i usmażyć na rumiano na maśle, lub fryturze. Takimi kotletami najsmaczniej jest obłożyć młode kartofelki, lub purée ze starych kartofli. Można też je podać same z sosem śmietanowym.

MŁODE CIETRZEWIE Z BURACZKAMI

Młodych tegorocznych cietrzewi nie należy marynować, tylko po oskubaniu i wypaproszeniu wymyć w paru wodach, sparzyć wrzątkiem, wewnątrz i zewnątrz osolić, każdego obwiązać dużym, cienkim plasterkiem słoninki, (najlepiej wędzonej) i upiec na brytannie pod blachą, lub udusić w dużym rondlu na blasze, podlewając rosołem, lub wodą. Uważać, aby nie przepiec, gdyż są bardzo delikatne i łatwo by się mogły rozpaść. Młode buraczki (kilo na dwa cietrzewie) ugotować z łupinkami, obrać, pokrajać w paski. Cietrzewie polać obficie kwaśną śmietaną, raz zagotować i wyjąć z sosu. Zdjąć z nich słoninkę, drobniuchno usiekać, dodać do buraczków, cały sos wymieszać z buraczkami, poddusić przez minut pięć najwyżej, przyprószyć mąką, jeszcze raz zagotować. Cietrzewie zgrabnie pokrajać, ułożyć na półmisku i obłożyć wkoło buraczkami w sosie.

KONSERWA Z MORELI

Najlepiej wszelkie konserwy (kompoty zimowe,) udają się w specjalnych aparatach Weck'a, które, jako już wyrabiane w kraju, nie są zbyt kosztowne. Kto jednak nie robi zbyt dużych zapasów, a tylko chce sobie zakonserwować kilka słoje ładniejszych owoców na zimę, może użyć każdego kociołka, z dobrze dopasowaną pokrywą, i krajowych słoje, które mamy kilku praktycznych systemów: wszystkie są zaopatrzone w krążek gumowy i mają albo specjalną sprężynę, lub też metalową zakrętkę, hermetycznie przyciskającą pokrywę szklaną do słoika. Morele na konserwę należy brać niezbyt dojrzałe; wrzucać po parę sztuk na wrzącą wodę, natychmiast wyjmować, srebrnym, lub brązowym nożykiem zdejmować delikatnie skórkę. Morele można konserwować całe, lub w połówkach; w drugim wypadku należy je podzielić na połowy, pestki roztluc, ziarenka oczyścić z ciemnej łupinki i przechować do dalszego użytku. Z moreli całych, pestek nie wyjmujemy.

Ugotować syrop, biorąc na litr wody osiemdziesiąt deka cukru; ostudzić go doskonale. W kompotjery nakładać możliwie szczelnie morele, zalać syropem, uważając, aby na palec nie dochodził do brzegu słoja. Zamknąć słoje hermetycznie. Na dno kociołka położyć warstwę siana, lub starą, czystą szmatkę, na to poustawiać słoje (konserwatory,) przełożyć sianem, lub słomą, aby przy gotowaniu się nie uderzały jeden

Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA ! ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNICZEJ GODZIENNIE OD 5 DO 7.

KRUCZA 31, M. 3.

o drugi. Nalać letnią wodą tak, aby słoje zupełnie były pokryte, (hermetyczne pokrywy i gumki nie dopuszczają wody do wnętrza). Kociołek przykryć pokrywą, postawić na ogniu; gdy się woda zagotuje, fajerkę zakryć i na zakrytej blasze, lub przykręconym gazie gotować czterdzieści pięć minut od chwili zagotowania. Woda powinna zupełnie wolno się gotować, a nie kipieć gwałtownie. Po czterdziestu pięciu minutach kociołek zdjąć z ognia, pokrywę usunąć, dać dobrze wystygnać wodzie i dopiero, gdy zupełnie zimna, kompoty wyjmować z kociołka. Zapomniałam dodać, że, układając połówki moreli w słojach, należy pomiędzy nie kłaść oczyszczone białe ziarenka, które dodają całej konserwie miłego, migdałowego aromatu. W taki sam sposób można konserwować brzoskwinie i duże francuskie śliwki. Należy tylko zawsze uważać, aby woda pokrywała zupełnie konserwatory. Kompoty, gotowane, jak dawniej uczono, — t. j. zawiązane pęcherzem i zalane wodą do połowy wysokości słoja, — nie sterylizują się dokładnie i po paru miesiącach zaczynają psuć się, burzyć i kwaśnieć od góry.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Aby pozbyć się nieznosnych mrówek z kwiatów i owoców w ogrodzie — trzeba umieścić w pobliżu zagrożonych drzew i roślin butelki, napełnione wodą z miodem. Zapach miodu przyciąga mrówki, które topią się, wchodząc do butelek. — Jeszcze lepiej przynieść z lasu mrówek leśnych, które, nie mając nic wspólnego z tamtymi i nie robiąc szkody, prędko wygryzą mrówki ogrodowe.

* * *

Ażeby pozbyć się w pokoju przykrego odoru dymu z papierosa, lub cygar, rzucić dobrą garść suszonych kwiatów lawendy na gorące węgle. Z chwilą, kiedy rozejdzie się lekki dymek po spalonej lawendzie, — pozostanie świeży, delikatny zapach, który napełni cały pokój.

„Owoce w moim ogródku“

RADY DOTYCZĄCE HODOWLI OWOCÓW W MAŁYM OGRÓDKU

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy. Za zaliczeniem nic wysyłamy.

KORESPONDENCJE

Pani St. W. G. Pan Węgrzyn Józef mieszka: Warszawa, Flory 9 — Co do Towarzystw filmowych, niech Sz. Pani zwróci się do pana Pawła Zagrodzińskiego, Marszałkowska 112 „Stylo-wy“ — on najlepiej Sz. Panią poinformuje.

Pani M. J. Dobra w Turku. Szczegółową naukę batikowania podaliśmy w ubiegłych Nr. Nr. „Bluszczu“. Na żądanie możemy przesłać Sz. Pani wyżej wspomniane numery — W żadnym razie batik nie nadaje się do malowania tła sztandaru.

* * *

Do Kosmetyki. „Mój Puder higieniczny“, „Moje mydło liljowe“, „Galaretka na łojotok“, „Krem do rąk“, „Krem po golaniu“, „Krem do pielęgnowania cery“ (na skórę tłustą i na suchą), „Mój krem na opaleniznę“, „Jajeczka do mycia włosów“, „Perełki białe i różowe“ (do pielęgnacji cery i biustu i t. d.) będą wysyłane prenumeratorkom „Bluszczu“ bez przerwy w miesiącach letnich.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
 palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
 suknia zwyczajna „ 2,50
 bluzka „ 2,00
 formy dzieciinne „ 2,00
 bielizna „ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:
 obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

KAŻDA KOBIETA USZYJE I OZDOBI SAMA SWOJĄ BIELIZNĘ, JEŻELI KUPI KSIĄŻECZKĘ

p. t.

„Wykwintna i praktyczna bielizna“

CENA 1 zł 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.